

Fot. Haenchen

RAKIETA – DZIŚ I JUTRO

Z rakietą zapoznałem się dość dawno. Jeszcze jako kilkunastoletni sztubak. Urządzano w mojem miasteczku zabawę ogrodową na cel dobroczynny. Oczywiście, jak przy podobnych okazjach bywa, miano też puścić ognie sztuczne. Komitet więc zakupił większą ilość „arcydzieł pyrotechniki“ i postanowił niemi uświetnić zabawę. Lecz w ostatniej chwili okazało się, że nikt nie umie ich puszczać. Nie umiałem i ja, ale co mi to szkodziło, gdy nadarzyła się okazja zrobienia nowych doświadczeń? Komitet bowiem zaczął poszukiwać amatora niebezpiecznych wrażeń, któryby zechciał własnoręcznie wyekspedjować rakiety pod gwiaździste niebo i... nie mógł nikogo znaleźć. Wobec tego zgłosiłem się i udało mi się to nadspodziewanie, jeśl nie liczyć niewielkiego zresztą osmalenia włosów i rzęs.

Od tego czasu zainteresowanie rakietami u mnie nie wygasło i choć dziś ich sam nie puszczam, to jednak interesuję się bardzo, gdy to czynią inni.

Bo czyż taka rakieta nie jest nadzwyczajną rzeczą: nabija się prochu do rury, zapala od dołu i rura leci w powietrze, buchając dymem.

Aczkolwiek te nadzwyczajności były znane już Chińczykom od kilku tysięcy (bodaj) lat, to jednak dopiero dziś zaczynają się ludzie na serjo zaznajamiać, dlaczego rakieta lata i dochodzą do nadzwyczajnych wniosków.

Więc najprzód dlaczego rakieta lata w powietrzu?

Przy spalaniu się prochu w rakiecie mamy do czynienia z takiem samem zjawiskiem, jak przy wystrzale armatnim. Gdy kula wylatuje z lufy, armata cofa się do tyłu. A gdyby taką armatę zawiesić w powietrzy i gdyby się ona o nic nie opierała, to po wystrzale poleciałaby w tył z szybkością, którаby tyle razy była mniejsza od szybkości pocisku, ile razy on jest lżejszy od armaty. Rakieta jest wręcz przeciwieństwem armaty: armata ma za zadanie wyrzucanie pocisku, prawie zupełnie nie poruszając lufy, zaś w rakiecie gazy wybuchowe są przeznaczone właśnie dla przesunięcia samego działa rakiety. Szybkość i masa tych gazów są tak znaczne, że rakieta, otrzymawszy „uderzenie“, rwie całą siłą w przestworza, im więcej prochu, tem wyżej i tem szybciej leci rakieta.

Wreszcie nadchodzi nieunikniona chwila, kiedy się wszystek proch wypala i pusta rura rakietowa, przeleciawszy jeszcze przez pewien czas na zasadzie prawa bezwładności, spada z powrotem na ziemię: jej szybkość była niedostatecznie potężna do przezwyciężenia siły przyciągania ziemi.

Ale wyobraźmy sobie rakietę długą na dziesiątki metrów i oczywiście tak silnie zbudowaną, żeby nie uległa rozerwaniu (z rakietami to się często zdarza); do rakiety naładujmy taką ilość materjałów pędnych, by przy ich pomocy mogła ona uzyskać szybkość 11 kilometrów na sekundę, gdyż dopiero przy takiej szybkości uda się jej rozerwać więzy przyciągania ziemi. I oto mamy wehikuł do podróżowania po nieskończonościach przestworzy.

Do takich to wyników prowadzi bawienie się puszczaniem ogni sztucznych!

Wszakże, mimo tak sprecyzowanego celu i mimo bardzo precyzyjnych obliczeń wybitnych teoretyków, praktycznie znajduje się sprawa rakiety jeszcze w stadjum, które możnaby nazwać „pieluszkowem“. Próbuje się, to prawda, zastosować rakiety do napędu samochodów, a nawet samolotów, lecz te próby niejednokrotnie kończą się tragicznie i wielu pionierów rakietoznawstwa zginęło bohaterską śmiercią.

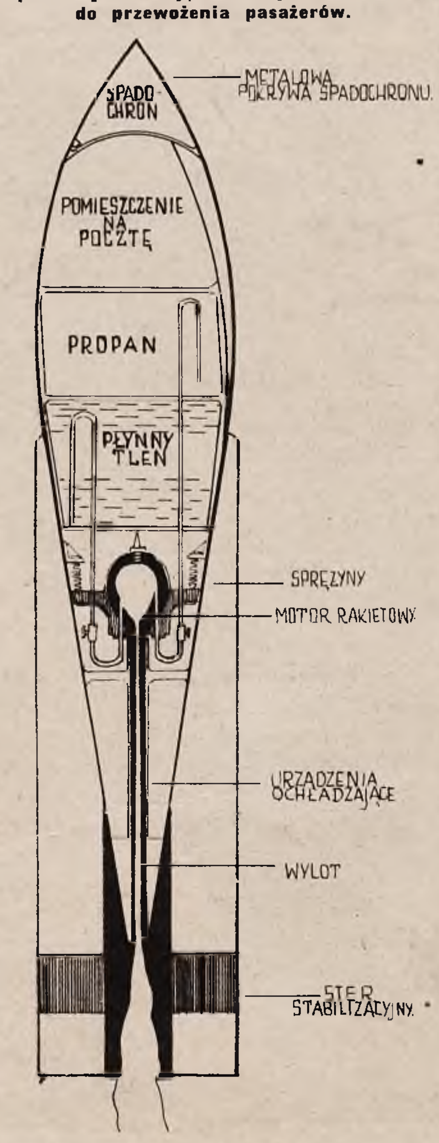
Lecz tak już jest, że wszelki krok naprzód w życiu ludzkości musi być okupiony ciężkiemi stratami. Ileż to ludzi zginęło, nim człowiek nauczył się latać!

Lista strat w dziedzinie urzeczywistnienia najśmielszej myśli ludzkości, w dziedzine oderwania się od ziemi, która dzisiaj jest coraz mniejsza i poszybowania w bezkresy wszechświata, dopiero co została otwarta. Narazie jeszcze człowiek stawia sobie za cel nietyle przełamanie najpotężniejszego z praw — prawa ciążenia, lecz wykorzystania rakiety, jako środka komunikacyjnego na powierzchni naszej planety.

W wielu krajach doświadczenia z rakietami stały się bardzo popularne, a największe przybrały rozmiary w Stanach Zjednoczonych, gdzie na przestrzeni od Kanady do Kalifonrji nie ma bodaj łąki, na której nie zbierałaby się w pewnych godzinach grupka ludzi, zajęta puszczaniem wielce dymiących pocisków z tektury.

Jednakże już i przy tych tekturowych pociskach, tak się mających do przyszłej rakiety międzyplanetarnej, jak latawiec do nowoczesnego bombowca, już poczyniono pewne duże nawet ulepszenia. Wyeliminowano już proch i zastąpiono go mieszaniną skroplonego tlenu z benzyną, która to mieszanina nie jest wybuchowa. Wynaleziono też około dwunastu typów „motoru“, to jest metalowej komory, gdzie następuje zapalanie gazów. Skroplony tlen dopływa do motoru wprost z tanków pod wpływem ciśnienia, powstającego przy jego parowaniu; gazolina lub spirytus (bo i ten bywa stosowany) pod wpływem ciśnienia sprężonego dwutlenku węgla. Dopływ do komory spalania jest regulowany przy pomocy automatycznych regulatorów.

Oto przekrój rakiety, która przeznaczona jest do przewożenia pasażerów.



Seniorem rakietowców amerykańskich jest prof. dr Goddard, który już dziś dał odpowiedź na wszelkie zagadnienia, tyczące się lotu na księżyc. Według jego zdania rakieta, która będzie mogła się udać na powierzchnię naszego satelity, musi mieć wysokość największego drapacza chmur w Nowym Jorku (Empire State Building) i kosztować „bagatelkę“, bo 1 miljard dolarów.

W praktyce prof. Goddard zajmuje się puszczaniem rakiet, nie dłuższych nad metr i nie ważących ponad czterdzieści kilo. Te pierwsze próby, któremi entuzjazmuje się nawet Lindberg, wyglądają nawet skromniej, niż pierwsze doświadczenia z balonami. Rakieta ustawiana jest w specjalnej wieży startowej i zapalana z bezpiecznej odległości przy pomocy elektrycznego zapalnika. Smuga białego dymu wydobywa się z jej „ogona“ i z ogłuszającym sykiem rakieta wyrywa się z wieży w powietrze. Dzięki sterom stabilizacyjnym rakieta nie schodzi z kursu i przechylając się z boku na bok, płynie jak ryba z głębiny ku powierzchni.

Rakietowcy są jak najlepszej myśli i uważają, że loty na kilkadziesiąt kilometrów są już bliskie a loty poprzez Atlantyk zostaną zrealizowane w ciągu jednego pokolenia.

Rakieta transoceaniczna będzie się poruszała z szybkością około 11 kilometrów na minutę i będzie mogła przewozić pasażerów i pocztę przez ocean. Podajemy obok projekt podobnej rakiety transoceanicznej w przekroju. W górnej części rakiety znajduje się pomieszczenie na pasażerów, załogę i pocztę. Mieszanina wybuchowa, składająca się z płynnego tlenu i propanu dopływa do komory spalania, regulowania automatycznymi regulatorami. Komora spalania czyli „motor“ jest osadzona na sprężynach, co oszczędza rakiecie niepotrzebnych wstrząsów. Motor a zwłaszcza rura wylotowa, gdzie powstaje największa temperatura, dochodząca do 2.000°, są opatrzone w urządzenia ochładzające.

Największa trudność będzie z wyrzuceniem rakiety w powietrze. Może to nastąpić albo przy pomocy specjalnego koła rozpędowego albo przez wystrzelenie (na sposób Juljusza Verne'a) z olbrzymiej armaty.

Gdy rakieta raz już się znajdzie w powietrzu, zacznie pracować motor a stery stabilizacyjne, oparte na zasadzie żyroskopu (t. zw. pilot automatyczny) poprowadzą rakietę do stratosfery, wykreślając olbrzymią parabolę. W pewnej chwili motor zostanie wyłączony a rozwinie się natomiast olbrzymi spadochron i pozwoli rakiecie wraz z pasażerami spłynąć łagodnie i bezpiecznie na ziemię.

Tak sobie to wyobrażają Amerykanie...

Niemcy zaś, jako naród praktyczny, przypomnieli sobie, że rakieta, nawet ta dawna, prochowa, była już wykorzystana, jako narzędzie wojny.

Podobno obecnie wojskowi fachowcy niemieccy pracują nad rakietą-armatą, mogącą strzelać na tysiąc kilometrów.

Kto wie, czy w zasięgu niewielu lat, jakie nam jeszcze do życia zostało, nie zobaczymy potężnych rakiet, które zamiast poczty i pasażerów będą przewoziły przez oceany olbrzymie ładunki materjałów wybuchowych, przeznaczonych na niszczenie niewinnych istnień ludzkich.

Leonard Życki-Małachowski.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

ZAŁOŻYCIEL I WYDAWCA: MARJAN DĄBROWSKI
REDAKTOR: JAN MALESZEWSKI
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENA NUMERU W LITWIE 50 CT.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor, prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 21 **Niedziela, 21 maja 1939** **Rok V**



Fot. Wide World.

Wyjazd angielskiej pary królewskiej z wizytą do Kanady uważane jest przez cały świat anglo-saski za wydarzenie wielkiego znaczenia, gdyż zacieśni węzły przyjaźni tak między Wielką Brytanją a Stanami Zjednoczonymi, jak też między metropolją Imperjum a jej dominjami. Na naszem zdjęciu para królewska udaje się w otoczeniu przybocznej gwardji — Life Guard na stację Victoria, by pojechać dworskim pociągiem do Portsmouth a następnie popłynąć statkiem „Empress of Australia" do Kanady. Zgodnie ze starą tradycją komendant fortu w Portsmouth witał parę królewską, składając jej klucze miasta na purpurowej poduszce.

GRUNWALDZKIE *Wspomnienie*





Nieraz Polak „przedwojenny", stojąc w „Dôme des Invalides" przed sarkofagiem Napoleona I, zrobionym z czerwonego marmuru, z wzruszeniem spoglądał na liczne sztandary ustawione naokoło — wśród których niejeden należał do pułków polskich. I wtedy, mimowoli, zapytywał się: „dlaczegoż u nas niema miejsca pamiątkowego, w któremby i nasze trofea, i nasze chorągwie, podziurawione kulami, podarte i właśnie dlatego dostojne, nie miały budzić wspomnień tych wielkich chwil, które tylu zabrały życie ludziom i uleciały bezpowrotnie?"

Odpowiedź była prosta: nie było Polski i wszystko co polskie tępiono na Jej ziemiach.

Z bólem zwiedzając też przed wojną Wawel — widziało się odrapane lub tynkiem pociągnięte mury, koszarowe budynki, na których widniał jeszcze c. k. orzełek, w rumowisku tonące komnaty wawelskie i ledwo dźwigający się z chaosu restauracji dziedziniec wawelski.

Na lewo od góry: Chorągiew wielkiego mistrza Ulryka v. Jungingen. — Chorągiew m. Królewca. — Chorągiew Teodoryka Croe, marszałka Inflant. — Chorągiew miasta Gdańska. — chorągiew komturstwa gdańskiego.

Prace szły wolno naprzód: koszty ogromne, a fundusz mały, mimo współdziałania całego społeczeństwa. Powoli tylko z kurzu, gruzu, śmieci wyłaniał się królewski Wawel, wspaniały, potężny, cichy i zamyślony. Stał się Mekką Polaków, miejscem ich największych wzruszeń, eksterytorjalnym kawałkiem ziemi na tem polskiem terytorjum, która uznawać musiała jednego z zaborczych, czarnych orłów. Eksterytorjalność Wawelu była jednak czysto duchowa: szybowała w nim myśl śmiało i daleko, nie prosiła o paszport wizowany w ambasadzie czy konsulacie, u landrata czy gubernatora. Dopiero wojna światowa, owa wojna wyśniona przez wieszczów, przyniosła ziemi realną eksterytorjalność i niezawisłość.

Powoli zaczęto gromadzić polskie pamiątki i urządzać królewski zamek. Odtwarzano życie w jego murach, dobierano meble i gobeliny, rzeźby i obrazy. Wawel zaczął żyć własnem życiem.

Przypomniano sobie też o tych 56 chorągwiach krzyżackich, które zdobiły katedrę wawelską po zwycięstwie nad Zakonem Krzyżackim pod Grunwaldem i Koronowem. Oryginalne chorągwie rozsypały się w proch, jak każda realna, namacalna rzecz rozsypuje się, zachowała się o nich tylko pamięć i skrzętne zpiski i rysunki Jana Długosza, „patris historiae Poloniae", wielkiej postaci, która oddziałała na nasze piśmiennictwo historyczne i po dziś dzień pozostała w niej wielką.

Trudno przeprowadzać paralele między zwycięstwami znanemi w historji, trudno powiedzieć sprawiedliwie czy zwycięstwo Karola Młota pod Tours i Poitiers w r. 732 było większe niż np. zwycięstwo Napoleona I-go pod Austerlitz, czy potężniejszy był manewr Karola V pod Pawią czy też zwycięstwo Polaków pod Kircholmem. Można te rzeczy ocenić z punktu widzenia strategji, ale z drugiej znów strony ileż momentów psychicznych, ileż szczegółów bardzo ważnych ucieka zpod naszej kontroli, ile rzeczy jest nam w tem niewiadomych! Są pewne jednak sprawdziany ogólne, zdaje się, niemniej pewne i logiczne. Zwycięstwo pod Warszawą nad bolszewikami, nazywamy „Cudem nad Wisłą": nazwa ta zdaje się być sprawiedliwą, gdyż wziąwszy pod uwagę słabość nowopowstałego państwa polskiego, przemoc bolszewickich wojsk — zwycięstwo to było niespodziewane. Przypominało Termopile lub Somosierrę.

Takim nieomal cudem, jeżeli chcemy tem słowem podkreślić wielkość i nieprawdopodobność zwycięstwa, moglibyśmy nazwać wygraną pod Grunwaldem. Musimy tu wziąć pod uwagę, że przeciwko dobrej lecz stosunkowo szczupłej armji polskiej i litewskiej, która ostatnia nigdy dotąd w wielkiej bitwie nie starła się z techniką bojową zachodu, bili się najlepsi rycerze nie tylko Niemiec, a co więcej znaczy, Zakonu Krzyżackiego, państwa opartego na kulcie miecza, dyscyplinie i zakonnem posłuszeństwie, ale też całej nieomal Europy zachodniej. Weźmy pod uwagę, że o szmelcowaną zbroję rycerza zachodnio-europejskiego uderzały jedynie nieraz strzały wystrzelone z łuku litewskiego żołnierza, że o pancerze uderzały słabe stosunkowo szable litewskie czy ruskie. Porównując sławę oręża krzyżackiego w Europie, a przedewszystkiem nimb, jakim otoczyła go dobra, już wtedy, propaganda, robiona przez poprzedników pana Goebbelsa, a sięgająca nawet do wrót Watykanu i wrót wszystkich dworów monarszych, zwycięstwo to było nieoczekiwane, chociaż zdobyte środkami ludzkiemi: odwagą, karnością i miłością ojczyzny.

W dniu 15 lipca 1410 r. padł w bitwie wielki mistrz Ulryk von Jungingen, z 700 rycerzy zakonu pozostało tylko 15, a wszystkie 51 chorągwi zakonu dostało się w ręce Polaków. W listopadzie r. 1411 król Wła-

dysław Jagiełło zawiesić kazał przy grobie św. Stanisława w katedrze wawelskiej chorągwie zdobyte tak pod Grunwaldem jak też pod Koronowem i pod Nakłem na inflanckich Kawalerach Mieczowych.

O dalszych losach tych chorągwi krzyżackich dowiadujemy się z relacji Jana Długosza. Pisze on o nich w swej historji i doceniając znaczenie tego wielkiego zwycięstwa uważa, że należy je na wieczne czasy przechować.

Samą uroczystość zawieszenia chorągwi na Wąwelu w katedrze, Długosz łączy z opisem okoliczności poprzedzających tę chwilę.

W r. więc 1411 król Władysław Jagiełło po przyjeździe swoim ze Lwowa do Niepołomic, przepędziwszy tam dni czternaście, w dniu św. Katarzyny udaje się z swej rezydencji niepołomickiej pieszo do Krakowa celem odprawienia modłów w kościołach św. Stanisława, Wacława i Florjana. Liczni dostojnicy nieśli w tym pochodzie do Krakowa zdobyte w wielkiej bitwie sztandary. Odprawiwszy swe modły na Skałce, król wraz z orszakiem udał się na zamek i tu, w katedrze zawieszono 51 sztandarów. Wtedy to za zgodą króla i duchowieństwa postanowiono obchodzić w dniu św. Apostołów tj. dnia 15 lipca pamiątkę wielkiego zwycięstwa nad Zakonem.

Zawieszone na miejscu najwspanialszem w Polsce, najbardziej pamiątkowem i najczcigodniejszem, chorągwie te pozostały przez lat dwieście. Marcin Bielski pisze w swej kronice w r. 1597: „król chorągwie pruskie dał zawieszać w kościele na zamku,



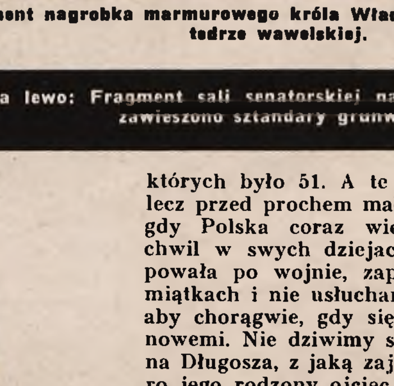
Fragment nagrobka marmurowego króla Władysława Jagiełły w katedrze wawelskiej.



Na lewo: Fragment sali senatorskiej na Wawelu, w której zawieszono sztandary grunwaldzkie.

których było 51. A te jeszcze i dziś widać lecz przed prochem mało ich znać". Później, gdy Polska coraz więcej miała trudnych chwil w swych dziejach, gdy wojna następowała po wojnie, zapomniano o tych pamiątkach i nie usłuchano rady Długoszowej, aby chorągwie, gdy się zniszczą, zastąpiono nowemi. Nie dziwimy się pieczołowitości Jana Długosza, z jaką zajął się tą sprawą, skoro jego rodzony ojciec brał wybitny w walce pod Grunwaldem udział.

By nie zaginęły w pamięci potomności te wielkie chwile zwycięstwa, Jan Długosz w 38 lat po bitwie kazał je odmalować, napisał o nich osobne dziełko i szeroko rozpisał się o nich w swej historji. Jemu to zawdzięczamy wszystkie w tym kierunku wiadomości. Za przykładem Długosza zresztą poszedł historyk i heraldyk Bartosz Paprocki, opisując je również w swem dziele „Herby rycerstwa polskiego" i dołączając do opisów drzeworyty.

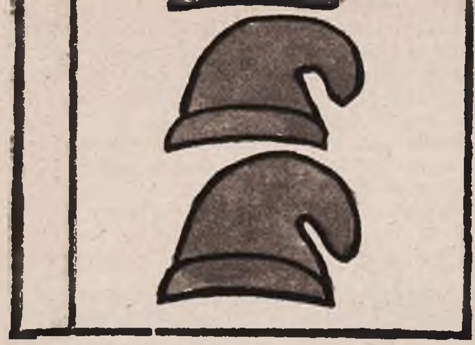


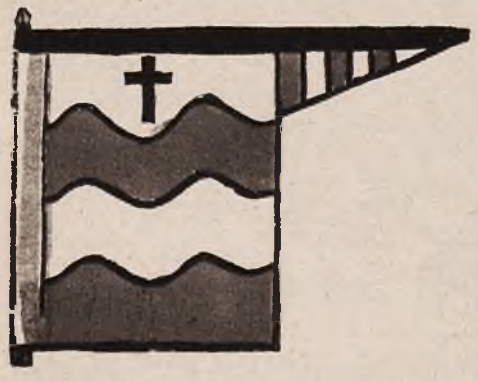
Rękopis Długosza o chorągwiach, posiadający tytuł „Banderia Prutenorum", obejmuje dokładny opis chorągwi, pisany jest na pergaminie i opatrzony kolorowymi rysunkami ręki Stanisława Durinka.

Zapoznajmy się z wyglądem i pochodzeniem tych cho-

Na lewo: Pogoń litewska — fragment nagrobka Władysława Jagiełły.

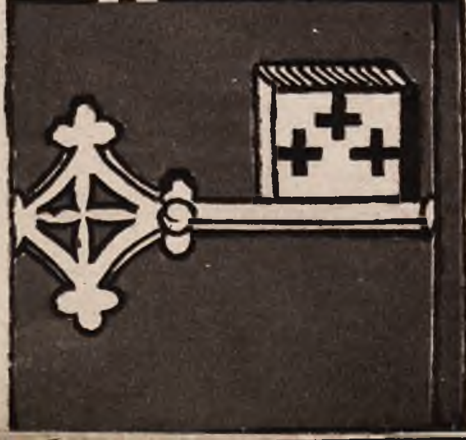












Powyżej: Sala Rycerska na Wawelu, ozdobiona sztandarami grunwaldzkimi, zdobytymi na Krzyżakach.

Na lewo od góry: Chorągiew komturstwa w Althaus. — Chorągiew ziemi Chełmińskiej. — Chorągiew, pod którą walczyło wielu mieszczan okręgu warmińskiego. — Chorągiew komtura w Schönsee. — Chorągiew Tomasza Meerheim, skarbnika Zakonu.

rągwi. Przedstawiają one herby ziem i okręgów komturstw Zakonu. — Na pierwszem miejscu trzeba wspomnieć chorągiew wielkiego mistrza Zakonu N. Marji Panny, zwanego potocznie Zakonem Krzyżackim. Na marginesie wspomnimy, że zakon ten istnieje po dziś dzień, swą siedzibv miał w Wiedniu, a wielkim jego mistrzem był m. in. ostatnio arcyksiążę Eugenjusz, następnie biskup Berna morawskiego, Klein. Zakon przyjmuje względnie przyjmował do niedawna, przed zaborem przez Rzeszę Austrji, szlachtę niemiecką, mogącą złożyć pewne próby genealogiczne, a sam Zakon dawno już stracił swój wojowniczy charakter, stając się organizacją czysto charytatywną.

Chorągiew w. mistrza wyobraża charakterystyczny krzyż, na którym spoczywa tarcza złota z czarnym orłem. Znajdujemy wśród chorągwi również chorągiew Fryderyka Wallenroda, frankońskiego pochodzenia, wielkiego marszałka Prus, dowódcy roty Zakonu krzyżackiego. Spotykamy chorągiew skarbnika zakonu, Tomasza Moerheim (Meerheim), chorągiew Fryderyka hrabiego von Zollern, z rodziny, z której wyszli Hohenzollernowie, następnie chorągiew miasta Elbląga i okręgu elbląskiego, dowodzonego przez Wernera von Tettingen, roty brandenburskiej, pod dowództwem Markwarta von Salzbach. Warto wspomnieć, że ów Markwart von Salzbach został wzięty do niewoli przez ojca Jana Długosza — o czem obszernie wspomina historyk w swem dziele. Chorągiew ziemi chełmińskiej, dowodzonej przez Jana hr. zu Seyn przedstawiała dwie czerwone rzeki w srebrnem polu, zaś chorągiew ziemi gdańskiej i miasta Gdańska dwa srebrne krzyże, jeden nad drugim w czerwonem polu, do których, z łaski króla polskiego, dodana została później korona królewska, wkońcu jest też chorągiew miasta i komturstwa gniewskiego, dowodzonego przez hr. Jana zu Seyn, a przedstawiająca dwie strzały srebrne na krzyż złożone w czerwonem polu.

Dopiero, jak się zdaje w XVIII wieku owe pamiątkowe chorągwie zginęły względnie rozsypały się w proch, tak, że resztki usunięto z katedry. Obecnie zrekonstruowano je i zawieszono w sali senatorskiej na Wawelu. Choć już nie autentyczne, budzą one w dalszym ciągu wspomnienie wielkich dni naszego zwycięstwa.

Jak wskazują na to wspomniane chorągwie, oddziały krzyżackie podzielone były według przynależności do swoich komturstw czy też miast lub mniejszych jednostek terytorjalnych. Organizacja ta była niezwykle ściśle obmyślona, karna i mogła być wzorem dla każdej armji. Zobaczymy, w jakim porządku walczyło wtedy rycerstwo polskie.

Chociaż ustrój rodowy był w XV wieku już w okresie zamierania a spójność rodowa przestała być właściwą organizacją wojskową, jaką była dawniej, to jednak i wtedy, jeżeli chodzi o wielką bitwę — po raz ostatni, — rycerstwo wystąpiło pod chorągwiami rodowemi, tj. noszącemi herb rodu, do jakiego dane rodziny należały. Oczywiście nie wszystkie rody herbowe były dosyć liczne, aby móc z swych herbowników stworzyć odpowiednią rotę czy pułk: te małe rody herbowe przydzielono więc do potężniejszych. W bitwie pod Grunwaldem brało udział 51 chorągwi, czyli jednostek bojowych, z których 27 było rodowych, reszta zaś nierodowych. Z tych ostatnich przypadało 15 na ziemie a więc była chorągiew krakowska, sandomierska, lubelska, poznańska, kaliska, przemyska itd. Wchodzili do niej nietylko rycerze danej ziemi, ale też obcy przybysze, tu więc organizacja wojskowa opierała się na podstawie terytorjalnej nie rodowej. Jeżeli chodzi o chorągwie rodowe, to kilka rodów miało ich więcej niż jedną, np. ród Leliwitów miał trzy chorągwie. Nałęcze i Sreniawici po dwie, po jednej zaś Jastrzębce, Poraje, Pobogi, Wieniawici, Gryfici itd. Warto wspomnieć, że bodaj najlepiej pod względem uzbrojenia i sprawności przedstawiała się chorągiew krakowska, którą dowodził znany rycerz Zyndram z Maszkowic, h. Słońce. — W skład jej wchodzili tacy rycerze, jak Zawisza Czarny, Florjan z Korytnicy, Jaksa z Targowiska. Domarat z Kobylan itd. Poza temi chorągwiami w bitwie brała udział chorągiew królewska czyli t. zw. „proporzec", oraz chorągiew zwana „gończa", służąca do pościgu.

Jan Maleszewski.

KĄCIK FILATELISTYCZNY



Dwa górne rzędy i środkowy znaczek w trzecim rzędzie — najnowsza serja sowiecka, w trzecim rzędzie na lewo znaczek U. S. A., po prawej niemiecki, w czwartym rzędzie znaczek francuski, wydany z okazji wystawy światowej w Nowym Jorku.

Pomimo, że amatorów filatelistyki jest bardzo wielu, zwłaszcza wśród młodzieży, to jednak mało pism polskich zamieszcza specjalne kąciki, poświęcone tej dziedzinie kolekcjonerstwa. W Polsce jedynie dwa pisma, tj. „As" i poznańska „Ilustracja Polska" dają kąciki filatelistyczne, a przecież w tygodnikach zagranicznych spotykamy się z nimi dosyć często. Jakkolwiek jest więcej jak pewnem, że dziedzina ta zajmuje wielu czytelników, to jednak dobrzeby było, aby od nich wpływały częstsze uwagi na ten temat, wyrażające ich specjalne dezyderaty i zainteresowania w tym kierunku.

We francuskim tygodniku „Vu" dział filatelistyczny jest prowadzony bardzo zajmująco przez p. Georges Olivier, który ma do swej dyspozycji raz na tydzień conajmniej 50 wierszy druku. I to jest przecież zbyt mało, bo ze względu na liczne ogłoszenia nie może „Vu" reprodukować tylu nowości co „As". Dla Francuzów jednak, którzy wszystkie wiadomości o znaczkach swej ojczyzny czerpią z „L'Echo", stanowi jednak „Vu" tylko miły dodatek, podczas gdy Polacy w braku dobrze prowadzonego pisma specjalnego łakną napewno rozszerzenia naszego działu w „magazynach".

Tym razem rzeczywiście nie wypada poświęcać więcej miejsca opisu na płachty znaczków rosyjskich i Hitlera w postawie mowcy, ciekawszą natomiast będzie zapowiedź nowych znaczków rumuńskich, gdańskich, jugosłowiańskich i bułgarskich, które zobaczymy w następnym numerze.

W. H.



SIOSTRY BURSKIE
ZNAKOMITE TRIO WOKALNE
(śpiewa z towarzyszeniem orkiestry 28 b. m. o godz. 21)

Fot. H. Zalewska, Warszawa

POZNAŃ DNIA JUTRZEJSZEGO



Na lewo: Oto plan miasta Poznania, orjentujący nas w rozdzieleniu zieleni, która znaczona jest jasnemi plamami, zabudowania zaś ciemnemi plamami.



Powyżej: Fragment Starego Rynku w Poznaniu, w głębi stara kamieniczka i „pręgierz".



Na lewo: Jeden z najnowszych reprezentacyjnych gmachów miasta Poznania — budynek P. K. O. na Placu Wolności.

Przyjął się naogół dość błędny pogląd, iż t. zw. „problemy" urbanistyczne istnieją tylko tam, gdzie miasto przejawia tendencje rozwojowe, a względy geograficzne, czy inne przeszkody nie pozwalają mu na to i gdzie zjawia się konieczność burzenia starych ulic, a nawet dzielnic.

Tak jednak nie jest. Dziś, w czasach, które nazwaćby można okresem „uświadomienia urbanistycznego", gdy na wielu smutnych przykładach ostatnich lat pięćdziesięciu architektura nauczyła się patrzeć na miasto i jego okolice oczami przyszłości, gdy architekt-urbanista stał się również i statystykiem ruchu ludności i handlowcem, przemysłowcem, a nawet politykiem. Nowe, poważne zagadnienia urbanistyczne zjawiły się w każdem mieście, a więc i w tych, gdzie rozwój nie napotyka na żadne poważniejsze przeszkody.

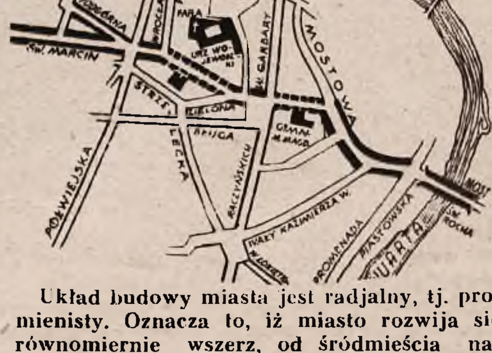
Takiem właśnie miastem — jednem wśród wielu w Polsce, gdzie rozwój biegnie nieskrępowaną linją, a gdzie mimo to istnieją poważne zagadnienia do rozwiązania, jest Poznań. Tę niewątpliwie bardzo korzystną sytuację zawdzięcza Poznań okoliczności, iż na szeroką skalę pomyślana rozbudowa miasta datuje się dopiero od roku 1900, mimo, iż jest to przecież jedno z najstarszych miast polskich i jest bezsprzecznie kolebką polskiej państwowości i religji rzymsko-katolickiej w Polsce. Tu spoczywają prochy dwóch pierwszych władców Polski, Mieszka I i Bolesława Chrobrego.

Po bogatym rozkwicie za królów Zygmuntów w szesnastem stuleciu, miasto uległo poważnemu zniszczeniu i wyludnieniu w czasie wielkich wojen XVIII wieku. W r. 1820 niemiecki zaborca otacza Poznań fortyfikacjami, budowanemi niemal w samem śródmieściu, zakazując rozbudowy miasta zarówno w obrębie fortyfikacyj, jak i poza niemi.

Fortyfikacje te, jako zupełnie przestarzałe zburzono dopiero w roku 1900. Jest to bardzo ważna data w historji rozbudowy Poznania. Dopiero od tej daty rozpoczęto właściwie przemianę Poznania na wielkie „europejskie" miasto. Są to już czasy najnowsze — wiek dwudziesty. W planowaniu nowego Poznania nie popełniono więc wielu błędów, na które cierpi chronicznie tak wiele miast zachodniej Europy i Polski, rozbudowywanych w wielkiem tempie w drugiej połowie ubiegłego stulecia. W tym czasie przyłączono też do miasta kilka gmin podmiejskich, a mianowicie: Jeżyce, Wildę, Łazarz, Górczyn i Sołacz. Tę ostatnią przeznaczono odrazu na wzorowe osiedle willowe. W dalszym ciągu niniejszego artykułu dowiemy się, na czem polega różnica pomiędzy wzorami takiego osiedla willowego według zasad „przedwojennych", jakiem jest poznański Sołącz, a nowoczesną dzielnicą willową. Przedtem jednak kilka słów ogólnej charakterystyki rozwoju Poznania.

Poznań jest miastem urzędów i średniego przemysłu przetwórczego, oraz miastem handlowem. Z tych względów nie przewiduje się—przynajmniej na okres najbliższych lat pięćdziesięciu — poważniejszego napływu ludności, poza przyrostem naturalnym. Stąd obliczenie iż Poznań, liczący dziś blisko 300 tysięcy ludności, osiągnie za 30—50 lat nie więcej ponad pół miljona.

Poniżej: Plan linji średnicowej, która połączy ul. św. Marcina z mostem św. Rocha.



Układ budowy miasta jest radjalny, tj. promienisty. Oznacza to, iż miasto rozwija się równomiernie wszerz, od śródmieścia nazewnątrz. Obszar, jaki miasto dzisiaj zajmuje, ponad sześć i pół tysiąca hektarów, jest zupełnie wystarczający do pomieszcze-




Od lewej: Fragmenty nowych dzielnic Poznania — ul. Ostroroga, zabudowana pięknemi willami oraz Dom Żołnierza. Fot. „As".

nia owego pół miljona mieszkańców.

W tak idealnych warunkach rozwoju i nie przewidując konieczności ilościowego rozrostu, miasto postawiło sobie za zadanie rozrost jakościowy. Nie rozszerzać narazie więcej granic, natomiast wysiłki skierować na wzorowe urządzenie miasta wewnątrz nich.

Ów rozrost „jakościowy" ma jeszcze jedno, głębsze znaczenie. Poznań jest siedzibą Prymasa Polski, jest najbardziej katolickiem z wielkich miast kraju. Stąd — odbywają się tu często zjazdy katolickie i kongresy eucharystyczne. Poznań jest też miastem uniwersyteckiem. Stąd — jest ono częstym gospodarzem zjazdów naukowych, i wreszcie — z powodu corocznych Targów Poznańskich przybywa tu wielu kupców i turystów.

Te częste zjazdy, ruch religijny, literacko-naukowy, masowe pielgrzymki turystów, wywierają na miasto wielki wpływ, z drugiej zaś strony stawiają mu wielkie wymagania, jakże odrębne od wymagań, dyktowanych przez życie miastu np. typowo handlowemu, lub przemysłowemu. Powiedzmy obrazowo: jeśli Polska jest naszem mieszkaniem, to Poznań w tem mieszkaniu ma spełnić rolę zacisznej, niemniej jednak obszernej, gotowej na przyjęcie zawsze wielu gości bibljoteki-pracowni, przemienianej czasami na salę konferencyjną.

Miasto w pierwszym rzędzie musi zatem roztaczać pieczołowitą opiekę nad gmachami: Uniwersytetu, swych czterech bibljotek ze słynną Bibljoteką Raczyńskich na czele, ośrodków naukowych (Pałac Działyńskich), licznych muzeów, gmachami teatralnymi.

W dalszej konsekwencji tych założeń, miasto musiało zwrócić szczególną uwagę na swój wygląd zewnętrzny. W tej dziedzinie Poznań uczynił naprawdę wiele i może być wzorem dla innych miast Polski.

Powierzchnia zieleni w Poznaniu wynosi blisko 700 hektarów przy dwóch tysiącach hektarów powierzchni zabudowanych i komunikacyjnych. Jest to więc stosunek 1:3 na korzyść terenów zabudowanych — stosunek naprawdę imponujący. Wystarczy spojrzeć na załączoną mapkę, by się przekonać, iż Poznań jest właściwie wielkiem miastem-ogrodem. Dla uniknięcia nieporozumień podkreślam, iż przez „zieleń" rozumie się zarówno parki, jak i ogrody publiczne i prywatne, pozatem skwery, cmentarze i boiska sportowe — więc wszystkie te tereny, gdzie rośnie żywa zieleń, stanowiąca „płuca miasta".

Sztuką jest posiadanie w mieście wielkiej ilości zieleni — większą jednak sztuką jest planowe jej rozmieszczenie. Planowość ta polega na tem, by poszczególne elementy zieleni łączyły się wzajemnie, tworząc jakgdyby wielkie pasy, oddzielające śródmieście od reszty miasta, oraz oddzielające poszczególne dzielnice od siebie.

Postulat ten realizuje się w Poznaniu z wielką wytrwałością. Nowe parki, ogródki działkowe, ulice, planuje się tak, by zieleń „oddzielająca" zawsze się ze sobą łączyła.

Z miasta usunięto całkowicie żebractwo i bezdomnych. Osiągnięto ten cel, budując wokół miasta cztery osiedla dla bezdomnych, z tych dwa (n. p. na Naramowicach) w formie małych domków jednorodzinnych z ogródkami. Bezrobotni mieszkają w tych domach bezpłatnie, mając do swej wyłącznej dyspozycji ogródek.

Przoduje też Poznań w dziedzinie ogródków działkowych, których jest tak wiele, iż na jednego mieszkańca wypada 6.2 m² ogródków działkowych. Niemcy, które tak się szczycą osiągnięciami w tej dziedzinie, przewidują tylko 6 m².

Dużą wagę przywiązuje się też do t. zw. „dziecińców", t. j. ogródków, przeznaczonych wyłącznie dla małych dzieci. Mimo, iż przez miasto przepływa szeroka rzeka (Warta), miasto buduje wielkie nowoczesne kąpielisko na Sołaczu, gdzie będą urządzone trzy obszerne baseny pływackie. Każda z dzielnic miasta otrzyma też osobny stadjon sportowy ze wszystkiemi potrzebnemi urządzeniami.

Nowe dzielnice willowe, które rozsiadają się wokół śródmieścia, jak n. p. zbudowane już „Osiedle Grunwaldzkie", oraz planowane: Dębiec i Górczyn Południowy otrzymają bardzo ciekawe i oryginalne rozwiązania urbanistyczne. Każda z dzielnic stanowić będzie jakgdyby oddzielne miasteczko. Wokół mają stać wille — (oczywiście każda w ogrodzie) — w centrum zaś dzielnicy stworzony będzie ośrodek miejski dla danej dzielnicy. Będzie to rodzaj rynku, przy którym stanie dzielnicowy ratusz z najważniejszymi urzędami:

Poniżej: Plan ośrodka dzielnicowego w Poznaniu — w środku rynek z ratuszem, wokół luźno zabudowane wille.



pocztą, policją, bibljoteką i salką na zebrania. Wokół „ratusza" stać będą domy o budowie zwartej, ze sklepami i targowiskiem. W pobliżu znajdzie też pomieszczenie szkoła powszechna i ochronka. W ten sposób mieszkańcy danej dzielnicy willowej nie będą potrzebowali udawać się do śródmieścia dla lada sprawunku, zaś dzieci ich nie będą musiały jeździć daleko do miasta na naukę. Dołączony rysunek perspektywiczny obrazuje dokładnie, jak ma wyglądać taki „ośrodek dzielnicowy" w projektowanej i budowanej obecnie dzielnicy willowej „Górczyn Południowy".

Poznań opracowuje jeszcze jedną specjalność, w czem również przodować będzie innym miasto polskim — są to miejskie drogi rowerowe.

W planach regulacji miasta przewidziano, iż wszystkie drogi wypadowe, oraz arterje, łączące dzielnice mieszkalne robotnicze z fabrykami, a wreszcie wszystkie szlaki wycieczkowe za miasto otrzymają przy jezdni specjalne ścieżki dla jeżdżących na rowerach. Wychodzi się słusznie z założenia, iż rower, jako środek komunikacyjny ma przed sobą wielką drogę rozwoju. Specjalnie należy ten tani środek lokomocji uprzystępnić robotnikom, udającym się do pracy i z pracy do domu.

Najbliższemi poważnemi pracami urbanistycznemi Poznania będą:

Przebicie pierwszej wielkiej arterji „średnicowej" pomiędzy ulicą św. Marcin a mostem św. Rocha dla odciążenia Starego Rynku i śródmieścia. Wielki ten plan już się realizuje — zburzonych będzie kilka kamienic i zabudowań. Przystępuje się też do odsłonięcia starych murów obronnych miasta z XIII wieku przy ulicy Masztalarskiej. Po odsłonięciu mury będą udostępnione dla zwiedzających.

W podobny sposób zmienione zostanie otoczenie i innych zabytkowych budowli Poznania, a mianowicie klasztoru Katarzynek, kościoła św. Wojciecha i fary, której cała elewacja południowa jest obecnie zasłonięta szpetną budowlą. Miasto zamierza również przystąpić do uporządkowania Starego Rynku, który jest przecież tłem najpiękniejszego ratusza renesansowego w północnej Europie. Wiele pięknych zabytkowych kamieniczek rozsiadłych wokół Ratusza zostało zohydzonych brzydkimi szyldami i nieestetycznemi przybudówkami do wystaw sklepowych, oraz wielkimi szyldami — muszą one zniknąć, by odsłonić prawdziwe oblicze starodawnych kamieniczek, a przez to i całego Rynku poznańskiego.

Wiele przemawia za tem, iż Poznań — chluba polskich miast, już dziś jedno z najpiękniejszych miast w kraju, stanie się prawdziwą perłą, której zazdrościć nam będą obcy przybysze, a wszyscy swoi kochać.

Mgr. Roman Burzyński.



WIECZORNE CIENIE...

Widok z Gubałówki na Tatry i Zakopane

Fot. dr. Wacław Szperber

Okresem najbardziej romantycznym w dziejach radja, jest wynalezienie lampy elektronowej, będącej najdonioślejszym wynalazkiem, jakiego dokonał człowiek.

Ukazanie się lampy radjowej, przyczyniło się do „rewolucji w radjotelegrafji“ i pozwoliło rozwiązać najtrudniejszy problem w dziedzinie radja, a mianowicie umożliwiła realizację radjotelefonji. Nadawanie na odległość drogą radjową mowy i muzyki — stało się faktem dokonanym.

Historja lampy, rozpoczyna się nazwiskiem wielkiego wynalazcy amerykańskiego. Nazwisko to brzmi: Tomasz Alva Edison. W trakcie doświadczenia z lampą elektryczną w r. 1883, Edison umocował wewnątrz swej lampy, małą płytkę metalową. Drut od tej płytki załączał Edison do jednego kontaktu galwanometru, drugi zaś zacisk połączył z włóknem żarzenia tej samej lampy. W ten sposób Edison dokonał spostrzeżenia, że galwanometr rejestrował przepływ prądu, gdy był połączony z dodatnim włóknem żarzenia lampy, a nie wykazywał drgnień i przepływu prądu, gdy był połączony z ujemnym końcem włókna.

Edison nie potrafił objaśnić tego odkrycia i nazwał go „efektem Edisona“. „Efekt“ ten pozostał na wiele lat tajemnicą.

W roku 1888 Ambroży Fleming, uczony angielski, rozpoczął doświadczenia nad „efektem Edisona“. Po jakimś czasie stwierdził, że ujemny ładunek elektryczny może przepływać od rozżarzonego włókna lampy do płytki metalowej — lecz nigdy przeciwnie.

J. J. Thomson dowiódł dopiero w roku 1897, że przyczyną tego zjawiska są częsteczki elektryczności ujemnej, zwane dziś elektronami, które odrywały się od rozżarzonego włókna i docierały do płytki metalowej. W ten sposób tajemnica doświadczenia Edisona została wyjaśniona po 14 latach.

Ustawiczne doświadczenia Fleminga nad „efektem Edisona“ i potrzeba nowego, czułego detektora dla potrzeb radja, doprowadziły wreszcie do tego, że w r. 1904 Fleming skonstruował pierwszy detektor lampowy, zastępując tylko płytkę metalową cylindrem, osłaniającym żarzące się włókna lampy.

Lampa Fleminga, była dwuelektrodową, posiadała bowiem elektrodę ujemną, czyli katodę (włókno) i elektrodę dodatnią, czyli anodę (cylinder).

Pierwszą lampę trójelektrodową wykonał amerykański uczony Lee de Forest. Dodał on między włóknem a anodą trzecią elektrodę, którą stanowił powyginany drut. Drut ten stał się siatką sterującą, której doniosłość trudno należycie ocenić. Ona to bowiem zmusiła radjo do „mówienia“.

Tak mniejwięcej przedstawia się historja najważniejszych wydarzeń w dziedzinie radja, streszczona swobodnie na podstawie dzieła E. H. Chapmana*) pod tytułem „Radjo“. Książka Chapmana, obejmująca wszystkie szczegóły rozwoju tego fascynującego dokonania ludzkiego genjuszu, jakiem jest radjo — opowiada w niezwykle wyczerpujący, ciekawy i w pewnem szlachetnem znaczeniu — sensacyjny sposób o wzlotach ducha ludzkiego, który umożliwił „porozumienie“ między ludami świata. Uporządkowany niezwykle skrupulatnie układ treści, jasna forma i encyklopedyczne wiadomości, zawarte w dziele Chapmana, stwarzają z niej lekturę nietylko przyjemną, ale przedewszystkiem konieczną w czasach dzisiejszych, kiedy radjo doszło do takiego rozkwitu, że stało się rozrywką miljonów ludzi, źródłem wiedzy dla szerokich rzesz, zaspokojeniem odwiecznych tęskont człowieka do przestrzeni i wreszcie potężną bronią narodów i ich rządów.

Ścisła wiedza, zawiłe dane techniczne i historja radja, dzięki jasności opowiadania stają się dostępne dla czytelnika, dla którego radjo było dotychczas obcym i tajemnym przedmiotem. Dowodem tego niech będzie dosłowny urywek z książki Chapmana, który demaskuje największą tajemnicę działania radja, opowiadając o pracy lampy.

„Rozpatrzymy teraz schemat, przedstawiony na rycinie 1. Symbol, oznaczony literą V wyobraża lampę trójelektrodową. Włókno żarzenia (K) zasilane jest prądem przez akumulator (B). Anoda (A) połączona jest za pośrednictwem pary słuchawek (T) z dodatnim biegunem baterji anodowej (BA). Ujemne bieguny baterji i akumulatora, połączone są z uziemieniem. Do siatki lampy, oznaczonej literą (S), dołączona jest antena.

Gdy przez włókno (K) przepływa prąd z akumulatora (B), wówczas wskutek żarzenia się włókna, wyskakują z niego elektrony. Ponieważ anoda (A), naładowana jest dodatnio, więc elektrony są przez nią przyciągane. Strumień elektronów między włóknem (K), a anodą (A) tworzy ciągły przepływ prądu elektrycznego, który następnie przechodzi przez słuchawki (T), baterję anodową (BA) i wraca z powrotem do włókna (K). Jest to prąd stały, który nazywa się prądem anodowym.

Na drodze przepływu strumienia elektronów między włóknem (K) a anodą (A) znajduje się siatka (S). Jeżeli siatka jest naładowana dodatnio, wówczas siła przyciągnia elektronów wybiegających z katody — zwiększy się, a natężenie prądu anodowego wzrośnie. Natomiast siatka (S) naładowana ujemnie będzie odpychała elektrony, wyskakujące z włókna (K) i będzie im przeszkadzała w przedostawaniu się do anody (A). W rezultacie więc natężenie prądu anodowego zmaleje. Małe zmiany dodatniego lub ujemnego ładunku siatki, wywołują w ten sposób duże zmiany w natężeniu prądu anodowego.

Gdy fale elektryczne trafią na antenę odbiorczą, wówczas powstające prądy sygnału będą wpływały na siatkę (S), która jest normalnie połączona z anteną. Na siatce (S) będą powstawały zmiany ładunku elektrycznego w kierunku dodatnim i ujemnym. W każdej chwili, gdy tego rodzaju zmiany powstają na siatce, wywołują one natychmiast odpowiednie zmiany w natężeniu prądu anodowego. Te zaś, wywołują powstawanie odpowiednich dźwięków w słuchawkach (T), przez które płynie prąd anodowy. Ponieważ małe zmiany ładunku na siatce są przyczyną dużych zmian prądu anodowego, więc lampa działa, jako wzmacniacz, czyli amplifikator słabych prądów zmiennych sygnału, które dopiero po wzmocnieniu oddziaływują na słuchawkę, wywołując w niej odpowiednie dźwięki“.

jot. b.

*) E. H. Chapman — „Radjo, Usta XX wieku“. Przełożył i uzupełnił rozdziałem „Radjofonja w Polsce“ Manswet Domański. Wyd. Trzaska, Evert i Michalski, Warszawa 1939. Bibljoteka dnia dzisiejszego. Tom III.



Maszty antenowe radjostacji raszyńskiej.

Od genjalnej przepowiedni Maxwella

DO „MÓWIĄCEJ" LAMPY

Radjo — jedno z największych dokonań ludzkiego genjuszu — posiada krótką historję swego rozwoju. Drogę do dzisiejszej fazy rozwojowej — odbyło radjo na przestrzeni małego, stosunkowo, bardzo czasu. Od pierwszych prób Henryka Hertza, uczonego niemieckiego, który wytworzył fale radjowe, minęło zaledwie kilkadziesiąt lat. Jest to okres wyjątkowo krótki, jeśli się zważy olbrzymi postęp współczesnych „uszu świata" — od prymitywnego oscylatora i rezonatora Hertza do dzisiejszej stacji nadawczej o wyglądzie potężnej elektrowni i nowoczesnego małego, o wielkim zasięgu i czułego odbiornika.

Historja radja jednak nie rozpoczyna się dokonaniem niemieckiego uczonego, o którem powyżej mowa, lecz nazwiskiem genjalnego teoretyka i uczonego angielskiego J. C. Maxwella. Uczony ten w roku 1864 dowiódł istnienia fal elektrycznych i dokładnie obliczył szybkość z jaką te fale powinny się rozchodzić.

Znając potęgę i ciężar gatunkowy słowa „radjo" — poświęcić trzeba trochę miejsca osobie Maxwella, który dowiódł istnienia czegoś nierealnego i niedającego się wyczuć i zmierzyć.

James Clark Maxwell urodził się w Edynburgu 13 czerwca 1831 roku. Jako uczeń szkoły średniej w Edynburgu — wyróżniał się zdolnościami do matematyki. Co ciekawe — uwielbiał on poezję — pisząc samemu wesołe wiersze. Po ukończeniu szkoły — przeniósł się na uniwersytet, a następnie studjował matematykę w Cambridge. Tam też wysunął się na drugie miejsce, jako najlepszy matematyk, zdobywając stypendjum.

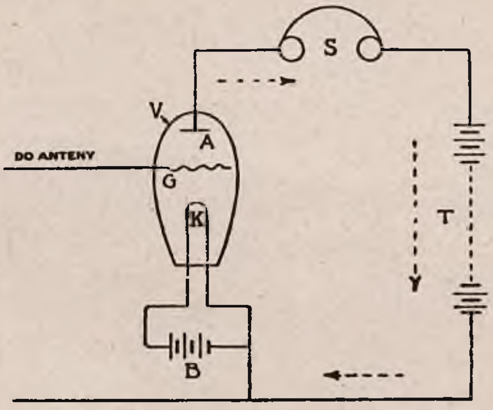
Po ukończeniu studjów, Maxwell został profesorem na uniwersytecie w Aberdeen, a następnie w Kolegjum Królewskiem w Londynie. Stan zdrowia zmusił po niejakim czasie Maxwella do udania się do Szk... i przerwania wykładów, by po jakimś czasie powrócić, jako profesor do Cambridge. Maxwell na tem stanowisku pozostał do śmierci, która nastąpiła w listopadzie 1879 roku. Maxwell umarł, mając zaledwie 48 lat.

Zawsze wesoły, dowcipny, lubiący niefrasobliwy nastrój, Maxwell, człowiek o szlachetnym charakterze — był dla świata jednym z największych matematyków. Kiedy Maxwell ogłaszał swe wiekopomne odkrycia miał zaledwei 33 lata... Nauczył się on najpierw wszystkiego o elektryczności, która stanowiła w owe czasy młodą gałąź wiedzy — następnie zabrał się do pracy nad równaniami matematycznemi, by udowodnić światu istnienie elektrycznych fal radjowych. Wykazał, że fale te mogą posiadać różne długości i że szybkość ich rozchodzenia się jest rozmaita.

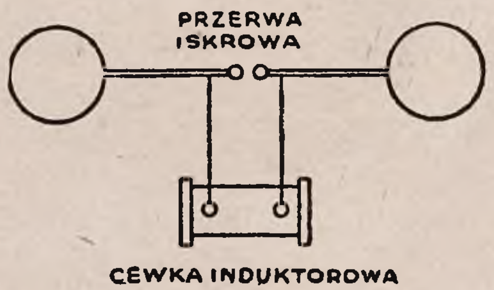
Wziąwszy pod uwagę, że w owych czasach nie istniały żadne aparaty do wytwarzania fal elektrycznych — należy uznać dzieło Maxwella godnem podziwu. Jest to największy triumf, jaki kiedykolwiek osiągnęła myśl ludzka.

W 23 lata po genjalnem stwierdzeniu Maxwella — Hertz zdołał nadać pierwsze fale radjowe na odległość kilku metrów w swej pracowni. Oscylator Hertza, prototyp współczesnej stacji nadawczej radjowej, składał się z cienkiego pręta metalowego, zakończonego po obu stronach dwiema kulami różnej wielkości. Dwie jednakowe części aparatu ustawił Hertz w jednej linji, tak, że mniejsze kulki, osadzone na prętach znajdowały się w niewielkiej od siebie odległości.

Załączywszy do oscylatora cewkę indukcyjną



Ryc. 1. przedstawiająca działanie lampy radjowej.



Oscylator używany przez Hertza.



Rezonator Hertza.
(Schematy z dzieła E. H. Chapmana: „Radio").

torową. Hertz ładował go elektrycznością. Podczas, gdy jedna strona ładowała się dodatnio — druga nasycała się ujemnie. Ponieważ proces ten nie mógł ciągnąć się w nieskończoność, gdyż istnieje granica, w której zamyka się ilość ładunków elektrycznych w oscylatorze, przeto po pewnym czasie między kulkami oscylatora zaczęły przeskakiwać iskry.

Hertz, kierując się oświadczeniem Maxwella, który powiedział, że kiedy przewodnik, naładowany elektrycznością rozładuje się szybko — wówczas będzie on wysyłał we wszystkich kierunkach fale elektryczne, sprowokował to rozładowanie. Teraz trzeba było stwierdzić praktycznie istnienie pędzących w laboratorjum fal z szybkością światła, jak powiedział Maxwell — zapomocą innego aparatu.

Zagadnienie to, najtrudniejsze z jakiem miał do czynienia Hertz, rozwiązał on w ten sposób, że kawał drutu, zakończony kulkami, nagiął w kształcie pierścienia, z tem, że kulki na końcach drutu omal dotykały siebie. Przyrząd ten został nazwany rezonatorem i stał się pierwszym odbiornikiem radjowym na świecie.

Gdy Hertz zbliżał rezonator do oscylatora, między kulkami pierwszego odbiornika przeskakiwała również iskra. Łatwo sobie wyobrazić radość Hertza na widok udanego zamierzenia.

Po tem pierwszem odkryciu, nastąpił cały szereg doświadczeń, które po kolei wykazały słuszność przepowiedni Maxwella. Fale elektryczne wykazywały zupełnie podobne własności, jak światło.

W owym wczesnym okresie radja, w którym wielu już uczonych zajmowało się zastosowaniem praktycznem fal elektrycznych, najbardziej dramatyczna historja dotyczy Dawida E. Hughesa, który mając 23 lata, dokonał swego pierwszego wielkiego wynalazku. Był to telegraf piszący, który odrazu zdobył sobie uznanie i do dziś ma zastosowanie.

Drugim wynalazkiem Hughesa, był mikrofon, skonstruowany w roku 1878 i demonstrowany w rok potem w Londynie. Mikrofon ten nad wyraz czuły, przyczynił się do niebylejakiego odkrycia Hughesa. Reagował on mianowicie na dźwięki, pochodzące od przyrządów elektrycznych, do których nie był wcale włączony. — Hughes skonstruował automatyczny nadajnik i doprowadził do tego, że odbiornikiem, który składał się z telefonu i mikrofonu — wykrywał sygnały na odległość do 500 m.

Hughes był przekonany, że ma do czynienia z elektrycznemi falami powietrza. Uczeni jednak odnieśli się do odkrycia bez przekonania i w ten sposób zahamowali rozwój radja.

Hertz badał fale radjowe w roku 1887, jednak już w roku 1879 Dawid Hughes wiedział o ich istnieniu i wykrył je za pomocą swego, ileż razy doskonalszego i bardziej czułego aparatu odbiorczego.

Od czasu doświadczenia Hertza, świat naukowy zajął się gorliwie odkryciem. W wielu laboratorjach Europy i Ameryki rozlegały się trzaski iskier elektrycznych. Na widowni, zjawiają się długim korowodem pionierzy, którzy powodują, że zwolna radjo przestaje być instrumentem laboratoryjnym, a zaczyna nabierać praktycznych walorów.

Sygnały radjotelegraficzne, słyszane są na coraz to większe odległości. W roku 1894 Lodge za pomocą detektora, opartego na zasadzie Branly'ego i ulepszonego, potrafił wykryć fale elektryczne, wysyłane oscylatorem Hertza na odległość 800 m!

Poprzez ustawiczne wysiłki, ulepszenia, nowe pomysły i przyrządy wiodła żmudna droga do najważniejszego wydarzenia dla radja w roku 1899, kiedy to Marconi zbudował pierwszy nadajnik strojony. Za pomocą tego aparatu Marconi nadawał sygnały radjowe na coraz większe odległości, a w roku 1901 podejmuje próbę przesłania sygnałów radjowych przez Atlantyk.

W Nowej Funlandji, która stanowi najbliższy punkt po stronie amerykańskiej udało się Marconiemu wypuścić w powietrze latawca, do którego przymocowana była antena o długości 170 m. Antena ta była połączona z aparatem odbiorczym. 12 grudnia 1901 roku, w południe usłyszano wreszcie nadany, specjalnie dla Marconiego znak, którym była litera „S".

Kreska, kreska, kreska... Tak, był to sygnał, nadawany z Poldhu do Kornwalji. Atlantyk został zdobyty przez radjotelegrafję! Można sobie łatwo wyobrazić radość Marconiego i jego dwu asystentów, którzy na ziemi nowofunlandzkiej, odebrali pierwsi na świecie sygnały radjowe na tak znaczną odległość. Stało się to w czternaście lat po odkryciu fal elektrycznych.

Dalsze sukcesy następowały szybko jeden po drugim. W roku 1902 depesze radjowe odbierały już statki na morzu. W 1903 roku prezydent Roosevelt przesłał przez radjo pozdrowienia królowi Edwardowi VII...

Balet, KTÓRY JEST ARMJĄ...





Na lewo i powyżej od lewej: Oto poszczególne fazy tańca greckiej gwardji królewskiej „ewzonów", noszących od wieków białe spódniczki i czerwone, suto złotem wyszywane kamizelki. Również i dolna część ubrania jest niezwykle oryginalna, a obuwie zaopatrzone w efektowne pompony. — Fot. Michael Lorant, Londyn

Barwne, ale niezwykłe stroje szkockich highlanderów wywołują zawsze pobłażliwy uśmiech. Cóż to za dziwne wojsko — w kraciastych, kolorowych spódniczkach, fantastycznych bluzkach i w dziwacznych czapeczkach na głowie? Zupełnie jakby w strojach karnawałowych: mężczyźni poprzebierani za kobiety.

Ale jeśli dzielni Szkoci wydają nam się zabawni, dlatego, że noszą spódniczki, cóż powiedzieć o wojsku, które nietylko chodzi w spódniczkach, lecz nadomiar — publicznie tańczy! Tańczące wojsko widuje się chyba tylko w operetkach.

Ale widocznie nie wszystko, co dzieje się w operetkach, jest nieprawdopodobne. Wojsko, które jest baletem, czy balet, który jest wojskiem — jak kto woli — istnieje naprawdę w Grecji.

Są to tak zwani ewzoni, którzy stanowią gwardję królewską. Noszą spódniczki, pod któremi mają bardzo obcisłe spodnie, ozdobione wstążeczkami. Bufiasta koszula, aksamitna czerwona kamizelka, obficie wyszywana złotemi nićmi, pantofle z pomponami i czapeczki, przypominające kształtem fez, uzupełniają ten dziwaczny strój.

Grecka gwardja królewska w spódniczkach rekrutuje się prawie wyłącznie z żołnierzy, pochodzących z prowincji, zwłaszcza z wysp: z Krety, Knossos, Minos i innych wysp morza Egejskiego. Wieśniacy z tych wysp wzrastają w kulcie dla tańca. Taniec jest ich żywiołem. Mają go „we krwi" bardziej może, niż wielu tancerzy, którzy z tej sztuki uczynili swój zawód.

Nasze pojęcia o wojsku, ubranem w jednostajne, szare stroje, o pełnej godności i powagi postawie wojskowych — jest niezrozumiałe dla Greków, żyjących pod błękitnem niebem, w ciepłym klimacie, wśród bujnej, barwnej flory. Dla narodu rozmiłowanego w śpiewie, tańcu i muzyce, opartej na motywach ludowych, Grekom ich tańcząca gwardja wydaje się czemś najnormalniejszem w świecie. Taniec tych żołnierzy w spódniczkach nazywa się ogólnie sirtos. Ale posiada on wiele odmian, stosownie do prowincji, z której pochodzą tańczący gwardziści. Jest więc kritikos, taniec Kreteńczyków, kalamatjanos, taniec wieśniaków z Kalamatry itd.

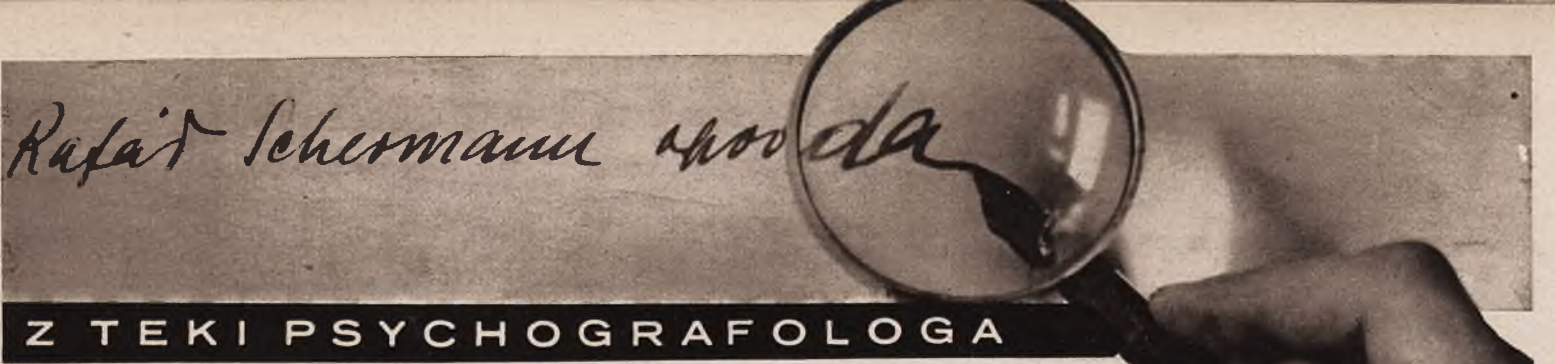
Raz do roku, na Wielkanoc (oczywiście według obrządku prawosławnego), odbywa się wielki festival tańca na ulicach Aten. Grupy ewzonów tańczą publicznie swe „sirtos", w rozmaitych odmianach, budząc zachwyt Ateńczyków i zbierając gorące oklaski.

Doprawdy — co kraj, to obyczaj!...

B.



Od lewej: Trzy widoki dzisiejszej Grecji — resztki klasycznych budowli (wnętrze Propileów w Atenach), średniowieczne obronne budowle (klasztor Laura Esfinekon) i ulica w śródmieściu Aten.



Z TEKI PSYCHOGRAFOLOGA

AUTORYZOWANE TŁUMACZENIE JANA MALESZEWSKIEGO

Pewien znany dziennikarz wiedeński, znany jest z tego, że zupełnie nie zwraca uwagi na swoje ubranie, co nieraz wprowadza go w kłopotliwą sytuację. Pewnego razu postanawia udać się na wytworny bal reprezentacyjny: koledzy redakcyjni pomagają mu przy ubieraniu się. Frak leży jak ulany, lakierki lśnią się jak gwiazdy, koszula czaruje swoją bielą, pomimo to wyraża dziennikarz ciągle swoje powątpiewanie, co do swego sukcesu i oczekuje „wpadunku". Aby usunąć wszelkie możliwości jakiejkolwiek katastrofy, koledzy redakcyjni... zawijają go w papier, na którym drukuje się dziennik i zawożą go, jak jakąś figurkę porcelanową na bal. W hallu, sali balowej, dziennikarz staje przed lustrem i jest mimo wszystko zachwycony swoim wyglądem, zauważa jednak, że fryzura jego nie jest w porządku. Gładzi się więc po głowie, a następnie poprawia coś przy koszuli i naraz towarzysz jego wpatruje się przerażony w swego przyjaciela. Okazuje się, że dziennikarz miał brzydki zwyczaj wycierania pióra o swoje włosy i przejechawszy dłonią po głowie, posmarował sobie ręce atramentem, który następnie osiadł na jego gorsie frakowym. Był to dziwny triumf dla pechowca: „A widzisz, że jednak mi się coś przydarzyło, gdyż mam dziwnego pecha!" — mówi do swego przyjaciela.

Gdy w poprzednim wypadku atrament stał się źródłem fatalnego wypadku, zobaczymy w następnym, że nawet złoto może stać się przekleństwem dla pechowca. Pewien przemysłowiec wiedeński starał się od dłuższego czasu o efektowny i pięknie brzmiący tytuł. Zawsze jednak coś wchodziło w drogę i nie mógł dojść do wymarzonego celu. Aż pewnego razu czyta w urzędowym dzienniku, że Jego Cesarska i Królewska Mość raczyła mu nadać tytuł cesarskiego radcy. Oczywiście prosi on zaraz cesarza Franciszka Józefa o audjencję, aby mu podziękować za odznaczenia. Gdy mu ją jednak przyrzeczono, nasz pechowiec przeżywa ciężką walkę, przeczuwając, że w tej, tak ważnej chwili, napewno mu się coś fatalnego wydarzy. Wkońcu nadchodzi dzień audjencji i przemysłowiec znajduje się w salonie audjencjonalnym w obliczu cesarza Franciszka Józefa. Gdy jednak wykonuje przepisowy głęboki ukłon, wylatują z jego kieszeni złote pieniądze i z głośnym brzękiem toczą się po posadzce. Cesarz, niespodziewając się takiego incydentu, odwraca się od pechowca, podchodzi do okna i rozzłoszczony bębni palcami po szybie. Audjencja kończy się niełaską: pechowiec powraca nieszczęśliwy i złamany.

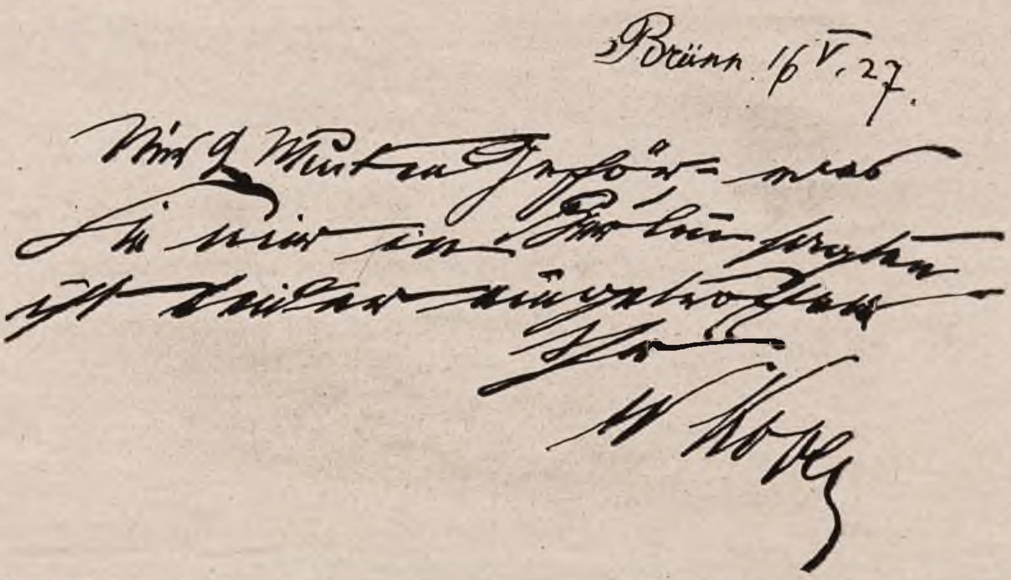
Wspólną cechą wszystkich pechowców jest obawa przed złośliwościami losu, oraz przekonanie że napewno spotka ich coś przykrego. Pesymizm ten i depresja ujawnia się już od wczesnych lat w ich piśmie: jest ono sharmonizowane ze zmęczonym, mało elastycznym chodem. Na późniejszy rozwój człowieka wpływają zazwyczaj już przeżycia szkolne: jeżeli poznamy młodość tych ludzi stwierdzimy, że z osiemdziesięciu wypadków na sto, ludzie ci, którzy pięć razy świetnie się przygotowali do egzaminu, stanęli przed tablicą egzaminatora właśnie wtedy, kiedy nie mogli się przyłożyć do nauki. Gdy nauczyciel zadał takiemu pechowcowi pytanie, na które mogły być dwie odpowiedzi, pechowiec oczywiście sięgnął do niewłaściwej. Gdy jeden jedyny raz starał się wyjątkowo oszukiwać podczas pracy szkolnej został oczywiście zdemaskowany. Nie potrzeba wyliczać tutaj więcej wypadków, wystarczy zaś powiedzieć, że początkiem seryj pechowych wydarzeń jest zawsze jakiś wybitniejszy wypadek. Pechowiec nie mając zaufania do siebie samego, brnie potem coraz dalej.

Zgodnie z mojemi doświadczeniami usposobienie pechowca bynajmniej nie jest nieuleczalne: i tu pismo wskazuje właściwą drogę, prowadzącą do wyleczenia. Podczas mojego ostatniego pobytu w Pradze poznałem pewnego dziennikarza, którego pismo wykazywało wszystkie klasyczne cechy pechowca. Nie znając jego życia bliżej, przedstawiłem mu je szczegółowo wraz z jego przykremi przejściami i niepowodzeniami. Na wszystko potakiwał, sprzeciwiając się jedynie mojemu twierdzeniu, że do mieszkania jego nie wpada, ani jeden promień słońca, twierdząc, że przeciwnie pokój jego posiada popołudniu pełne światło.

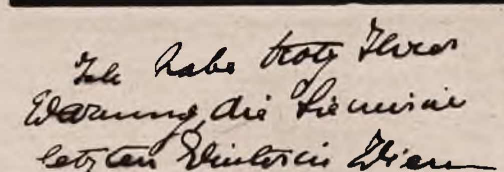
— W takim razie niema pana nigdy popołudniu w domu i siedzi pan w tym czasie w kawiarni. Zdaje mi się, że jednak przekonałem go, aby przesiadywał więcej w domu i korzystał z pięknego słońca.

Niektórzy pechowcy, którzy się do mnie zgłaszają, są jedynie moralnymi inwalidami, natomiast są tacy, którzy nie wiedzą wcale, iż są typowymi pechowcami. Zwłaszcza podczas mojego ostatniego pobytu w Berlinie spotkałem wiele takich osób: byli to przeważnie ludzie tańczący na wulkanie gry na giełdzie, która objęła najszersze warstwy. Spotkałem tam pewną damę, która zdawała się być u szczytu swego powodzenia życiowego, posiadała wspaniałe tualety, odbywała kosztowne podróże, poświęcała się wytwornym i kosztownym sportom. Mimo to wszystko wykazywało jej pismo, że powo-

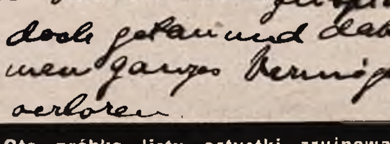
Ciąg dalszy na str. 20-ej.



Bilet czeskiego przemysłowca, który stracił majątek na giełdzie.



Oto próbka listu artystki zrujnowanej przez nieopatrzną grę na giełdzie.



Typowe pismo pechowca.

PARNELL
znowu na widowni!



Feliks Parnell jako Faun.



Na lewo: „Fantazja polska" do muzyki Paderewskiego (od lewej: Parnell, Woliński, Dymiszkiewiczówna, Zembrzuska).

Willa „Halama" w Zakopanem stała się od jakiegoś czasu siedzibą sztabu głównego — głośnego w kraju i zagranicą Baletu Parnella. Jak wiadomo, państwo Parnellowie, a więc Feliks Parnell i Zizi Halama założyli sobie pod Tatrami piękną i wysoką „gazdówkę". Tutaj przygotowują się nowe „kampanje" artystyczne, tu rodzą się plany nowych świetnych batalij, zwycięskich marszów po miastach Polski, tu oglądać można zdobyte trofea — w postaci pochwalnych, entuzjastycznych recenzyj krajowych i zagranicznych.

Balet Parnella, choć nie ma tytułu „reprezentacyjnego" — reprezentuje godnie taniec polski i to nie od dzisiaj. Przed kilku miesiącami zbierał on oklaski w programie pełnym inwencji artystycznej, z Parnellem i Zizi Halamą na czele zespołu. Obecnie balet ten rozpoczął nowe tournée po Polsce z całkowicie odmiennym programem. Ponieważ Zizi Halama odpoczywa — jej miejsce zajęła znana z poprzednich występów Danuta Dymiszkiewiczówna, której talent okazuje nieustanny rozwój. Doskonałych partnerów znalazł Parnell w osobach dwóch młodych tancerzy T. Wolińskiego i K. Maciaszczyka. Woliński zdobył szczególny aplauz w zabawnych numerach o zacięciu groteskowem. —. Trzeba wreszcie wymienić piątą z paczki Parnellowej — I. Zembrzuską.

Parnell umie zawsze nadać zespołowi piętno swej indywidualności, a zarazem wydobyć z poszczególnych artystów właściwe im zdolności. A że sam siebie nie oszczędza, występując prawie we wszystkich numerach — trzeba podziwiać energję i żywotność wybornego tancerza i baletmistrza.

W najnowszym programie zauważyć się godzi wprowadzenie jako akompanjamentu do tańca — płyt, nagranych przez najwybitniejsze siły muzyczne. W ten sposób Parnell umożliwia publiczności słuchanie dzieł Szopena, Paderewskiego, Liszta...

Do najciekawszych numerów programu zaliczyć trzeba wizyjno-nastrojową „Fantazję Polską" (muz. Paderewskiego), groteskowe „Freski egipskie", „Rapsodję węgierską" (muz. Liszta), porywającą patrjotycznym rozmachem „Redutę" (do „Etjudy rewolucyjnej" Szopena w wyk. Paderewskiego), „Popołudnie Fauna" (muz. Debussy'ego, a wykonanie taneczne Parnella), „Intermezzo piekielne" (muz. Saint-Saensa) i „Bachanalje", kończące się rozbrykaną groteską.

Jarosław Janowski.



Danuta Dymiszkiewicz w obrazie „Reduta".
Zdjęcia: Schabenbeck — Zakopane.

ciąg dalszy ze str. 18-ej.

dzenie jej jest tylko pozorem. W piśmie tem odbijał się niezwykły niepokój, to też radziłem jej, aby swoją pełną wzruszeń i niepewności egzystencję zmieniła na życie skromniejsze, ale bezpieczniejsze. Niestety łatwe życie tak ją oszołomiło, że nie usłuchała mnie i była bardzo przerażona, gdy radziłem jej, aby zlikwidowała wszystkie swoje papiery na giełdzie i zakupiła za nie jakieś rentujące się przedsiębiorstwo. Powtórzyłem moją radę, chcąc przygotować ją na możliwe bankructwo, pismo bowiem mówiło mi, że zaangażowała się grubo ponad swoje możliwości i że spadek kursów pozbawi ją majątku. Pismo tej kobiety jest nieomal typowe dla pechowców. Przesadnie duże litery starają się podkreślić jej domniemaną wielkość i znaczenie, małe jednak litery, pochodzące z czasów, kiedy była typowym pechowcem, wskazują na właściwy bieg jej losu. Niektóre z tych liter są nieomal nie do odcyfrowania, tak naprzykład litera „h" w słowie „hast" i litera „n" w słowie „geschrieben", przy innych znów brakuje całych ich części, pisze naprzykład „nir", zamiast „mir".

Najtypowsi pechowcy to ci, którzy stosując wszelkie środki ostrożności, upadek swój zawdzięczają drobnym okolicznościom. Takim to człowiekiem był pewien fabrykant z Czechosłowacji, którego poznałem w Berlinie. Pismo jego zdradzało, że ciągle zajęty był myślami o cyfrach i rachunkach. Oświadczyłem mu na wstępie, że gra na giełdzie, co go niezwykle zdziwiło. Zapytany, skąd to wiem, oświadczyłem mu, że pismo jego wskazuje na rodzaj „szału" cyfrowego. Zaraz też poznałem z pisma, że żyje on obecnie jedynie z gry na giełdzie porzuciwszy poprzedni zawód. Przypuszczałem, że usłucha mojej rady i przestanie grać na giełdzie, stało się jednak inaczej. Nieszczęśnik uważał, że nic mu nie grozi, gdyż przyjaciel jego był dyrektorem banku i dawał mu odpowiednie wskazówki. Gdy zobaczyłem pismo tego przyjaciela, tembardziej odradzałem memu klientowi grę na giełdzie, poznałem bowiem zaraz z tego pisma, że inicjator tej gry jest doradcą drugiej lub trzeciej klasy i bynajmniej nie można na nim polegać. Lecz klient mój nie dał za wygrane, był bowiem zbyt przeświadczony o zdolnościach swego przyjaciela, temwięcej, że jego rady były dotąd dobre. Rozmowa z moim klientem nie doprowadziła do niczego: każdy z nas pozostał przy swojem zdaniu. Dnia jednak 13 maja wydarzyło się nieszczęście. Gdy w dniu 16 maja wygłaszałem w Bernie mój odczyt i podczas przerwy dawałem wyjaśnienia dziennikarzom, wręczył mi portjer kartę, na której skreślił ktoś w pośpiechu następujące słowa: „Berno, 27 maj 1927. Tylko dwie minuty rozmowy! To co pan mi przepowiedział w Berlinie stało się... Oddany W. K." Ledwo przeczytałem bilet, a już autor jego stał przedemną: był to właśnie ów fabrykant czechosłowacki, którego ostrzegałem przed grą na giełdzie. W krótkich słowach opowiedział mi swoją tragedję. Polegała ona na tem, że przyjaciel jego właśnie przed fatalnym piątkiem, zwanym przez giełdziarzy „czarnym piątkiem", rozpoczął dłuższą podróż morską. Straciwszy wszystkie pieniądze znalazł się mój klient w Bernie na utrzymaniu rodziny.

Upadek z wyżyn życia wydarzył się również pewnej sławnej artystce berlińskiej, której przyjaciel doradzał jej, aby grała na giełdzie. Będąc z występami gościnnymi w Wiedniu odwiedziła mnie, chcąc się dowiedzieć, czy ma poczynić większe wkłady w grze giełdowej, jak jej to radzono. Dotychczas operacje jej na giełdzie kończyły się zawsze pełnym sukcesem. Pismo jej jednak wykazywało dobitnie, że to powodzenie jest na ukończeniu, a zaczyna się pechowa serja. Przepowiedziałem jej z całą dokładnością, że straci cały swój majątek i wszystkie dotychczas zdobyte w grze pieniądze i że jej bankier, kierujący grą, jest wybitnym pechowcem.

W rok później otrzymałem od niej następujący list: „Mimo pańskiego ostrzeżenia, które mi pan dał w Wiedniu podczas mego ostatniego pobytu w zimie, spekulowałam w dalszym ciągu i straciłam cały mój majątek. Tym razem raz jeszcze zwracam się do pana o radę, przyrzekając, że jej usłucham.

(ciąg dalszy nastąpi).

W PORANNEJ MGLE

Fot. Edward Hartwig



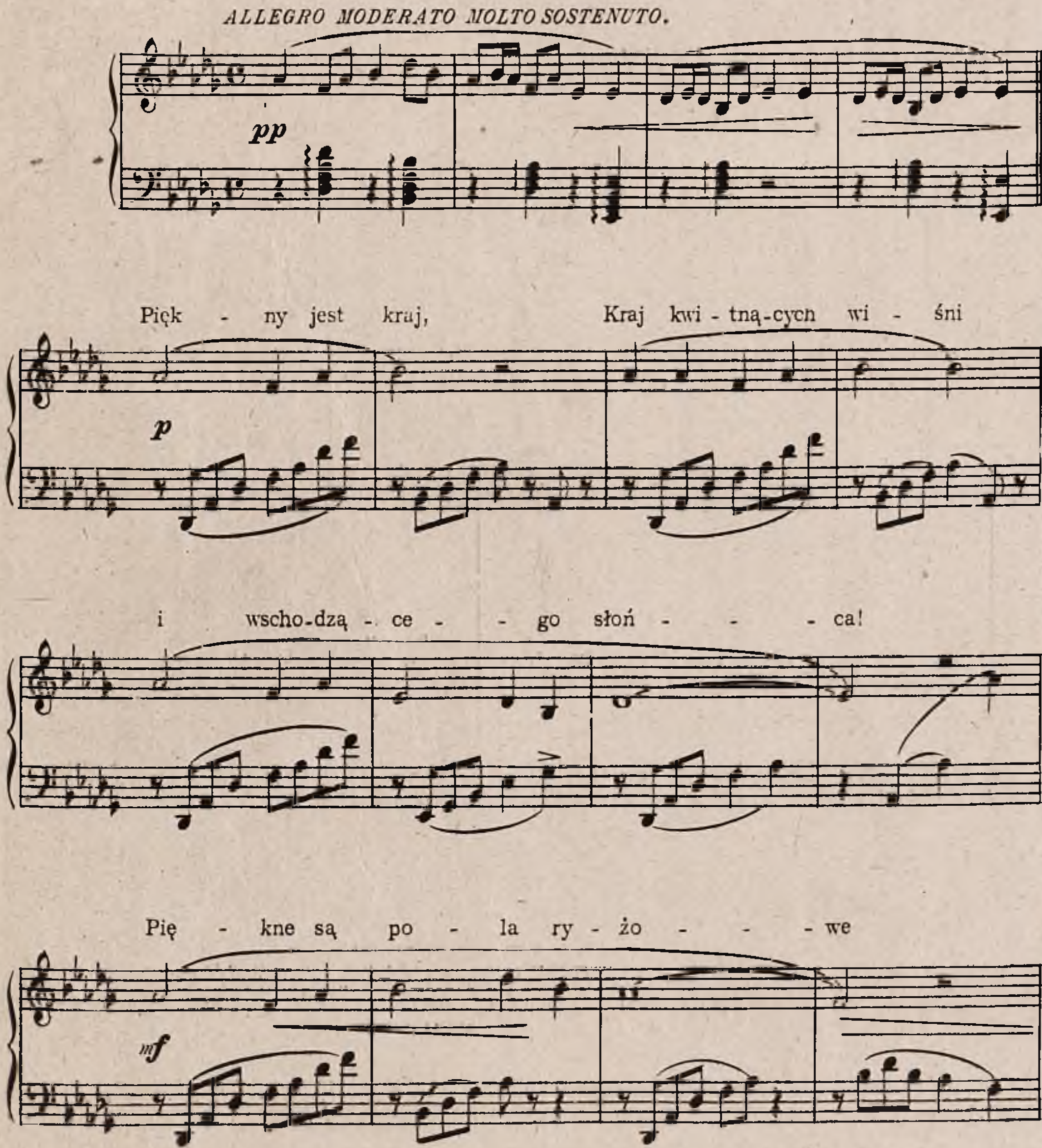
Z TEKI MUZYCZNEJ ASA:

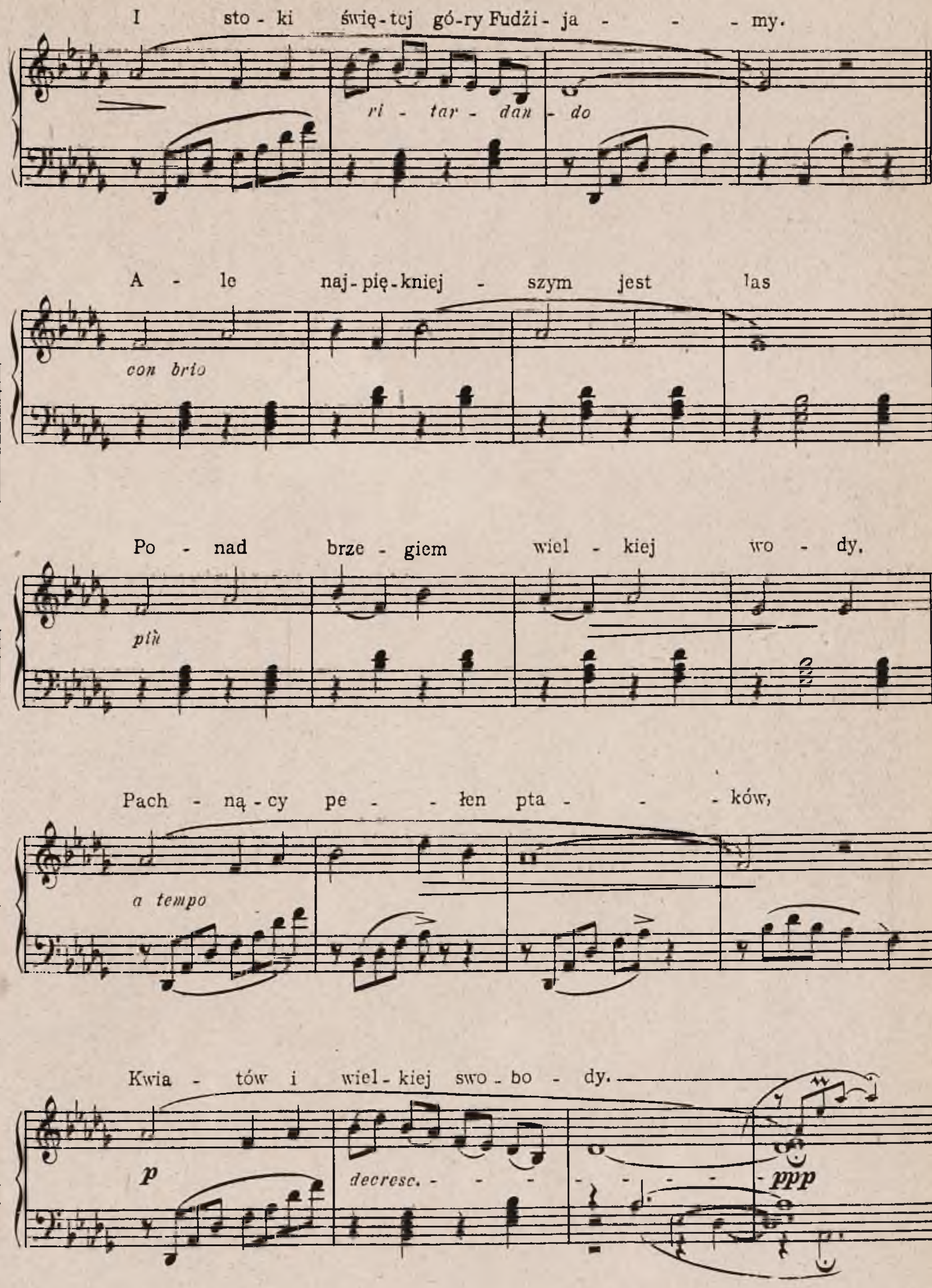
PIEŚŃ JAPOŃSKA

ZE SŁUCHOWISKA RADIOWEGO „MIKADO-ZAPAŁKA"

SŁOWA:
MAŁGORZATA STERBÓWNA

MUZYKA:
CZESŁAW HALSKI, 1937





Czarownica

WANDA DE RICHE

OPOWIEŚĆ

Zapewne minie jeszcze wiele lat, zanim historja wypowie ostatnie słowo o czarownicach i zanim rozwiązaną zostanie zagadka ich nieprawdopodobnych zeznań, składanych często bez przymusu, jakby dla przechwalania się cudownemi właściwościami, w które wierzył nietylko ogół i sędziowie, ale, co najważniejsze, także one same.

Przeglądając akta procesu Marji Orzeckiej, jednej z ostatnich czarownic, spalonych w Krakowie i rozpatrując zeznania samej oskarżonej, stwierdzić musimy, że noszą one na sobie piętno niezwykłego dramatu i z tych względów zasługują na wyróżnienie. Chodzi w danym wypadku nie o cechy zewnętrzne, ale o pewne szczegóły, stanowiące właściwą treść przewodu sądowego, a pozostające w związku z duchowem „załamaniem się" czarownicy, które było powodem procesu i jego smutnego zakończenia.

Marja Orzecka była córką stolarza ze Zwierzyńca, jednostką, tak pod względem duchowym, jak fizycznym, zupełnie przeciętną.

Wprawdzie jeden ze świadków, przesłuchiwanych na ratuszu w związku z wytoczonem jej dochodzeniem, zeznał, że „dziewka miała zawsze złe oczy i rzucała uroki", twierdzenie swe oparł jednak tylko na jednym fakcie, trudnym do ustalenia. W myśl jego słów, miała dwunastoletnia Orzeczanka spowodować śmierć swej rówieśnicy, Hanusi Golonkównej, której zapowiedziała, że „nie przeżyje Nowego Roku". Ponieważ jednak wspomniana Golonkowna, równie jak jej matka i brat, zmarli na cholerę po wyjeździe do Wiśnicza i w ciągu ostatnich czterech miesięcy przed śmiercią nie utrzymywali z rodziną stolarską żadnych stosunków, oskarżenie świadka ostać się nie mogło Musiało jednak „coś być na rzeczy", jeśli rodzic Marji, mistrz stolarski Jacenty Orzecki przyznał, zapytany przez jednego z rajców miejskich, że córka była zawsze dziwnem dzieckiem i że w późniejszych latach zaczęto jej unikać, gdyż „miała długi język". Nie ulega wątpliwości, że zacny mistrz stolarski, wspominając o długim języku córki, chciał przez te słowa wyrazić, że Marja „mówiła o niepotrzebnych rzeczach". Należy przyjąć, że w pewnych sytuacjach córka jego wygłaszała sądy, które się sprawdzały, a pytana o radę, ostrzegała przed niebezpieczeństwem tak trafnie, jakby je widziała na własne oczy.

Czasami były to tylko powiedzenia, uważane za złośliwe. I tak: stara Kocuniowa skarżyła się stolarzowi, że Marja, odwiedzając ją w chwili, kiedy doiła krowy, mruknęła pod nosem: „Mają dużo mleka, ale i tak wkrótce zdechną". Co się rzeczywiście stało.. Zalotną Józkę Stawiszczakównę, która goniła ciągle za chłopakami i którą matka łajała w jej obecności, broniła temi słowami: „Niech lata... niech lata... Wszystko się skończy, kiedy złamie nogę". W istocie nie upłynęło dziesięć dni, a przepowiednia ziściła się.

Takich wydarzeń, musiało być więcej, jeżeli zważymy, że o ostrzeżeniach, które wyszły zainteresowanym na korzyść, przewód sądowy nie wspomina. Bądź co bądź, znalazło się sporo ludzi, którzy żywili do Marji urazę za nieszczęścia i wypadki, wywołane, ich zdaniem, przez nią samą. Sąsiadki oburzyło szczególnie, że stolarzówna mówiła o matce swojej, jak o nieboszce i opłakiwała ją, jeszcze na trzy tygodnie przed śmiercią. Stara umarła wprawdzie na puchlinę — chorowała już od dłuższego czasu, ale kto wie, czy córka nie rzuciła na nią uroku? Sprawa wzięła jednak nadspodziewanie zły obrót, skoro na ratusz wpłynęło doniesienie, poparte licznemi nazwiskami i datami.

Nieznany delator oskarżał w nim Marję Orzeczankę o wyraźne dybanie na życie bliźnich, paranie się z szatanem i szereg potworności, trudnych do sprawdzenia. Nie udało się ustalić, kto był owym oskarżycielem, ale w świetle późniejszych zeznań wydaje się wielce prawdopodobnem, jeśli nie pewnem, że doniesienie było dziełem samej obwinionej, dokonanem w ciągu dwóch tygodni, które upłynęły od śmierci Jaśka Nowinki, jej narzeczonego, czy kochanka. Na okoliczność tę zwrócono uwagę dopiero po powrocie do Krakowa księdza Janusza Winnickiego, spowiednika w klasztorze Panien Norbertanek, który wydał nietylko pochlebne świadectwo o prowadzeniu się Marji, swego czasu jego pupilki w okresie, kiedy dziewczyna nosiła się z zamiarem wstąpienia do klasztoru i uczyła się u niego ukradkiem łacińskiego alfabetu, lecz przedstawił także próbki jej pisma, niezwykle podobnego do użytego w doniesieniu.

Dla psychologa najbardziej interesującemi będą zeznania samej „czarownicy", złożone na ratuszu wobec burmistrza i radzieckiego urzędu. Inkwizycja, przeprowadzona, jak w podobnych wypadkach „totius communitatis instantia", miała na celu odpowiedź na trzy zasadnicze pytania: czy stawiona przed sąd Marja Orzecka jest „prawdziwą czarownicą", „kto ją nauczył czarowania" i „komu szkodę swemi czarami robiła?"

Dobrowolna inkwizycja Marji Orzeczanki jest ' jednem wielkiem samooskarżeniem, złożonem przez kobietę, która padła ofiarą niezrozumiałych dla niej wydarzeń. Dla większej przejrzystości streszczę jej zeznania, które, mem zdaniem, stanowią pewnego rodzaju wyjaśnienie dramatu. Pomijam, rzecz prosta, „generalja" oskarżonej, gdyż wspomniano o nich już poprzednio.

Zdaje się, że biedna kobieta, której los narzucił rolę czarownicy, nie odrazu zdała sobie sprawę z swych niezwykłych właściwości. Jak długo była dzieckiem, nie zastanawiała się i nie rozmyślała nad rzeczami, pozornie bez znaczenia, a które dopiero z czasem zaczęły ją niepokoić. Odtwarzając przeżycia Marji na tle sądowej „interrogatorey", należy przyjąć, że już od wczesnej młodości miewała dziwne sny, odnoszące się do osób, które żyły w jej otoczeniu i z któremi spotykała się bardzo często. Sny te były tak barwne i wyraziste, że nie mogła o nich zapomnieć, a życie wydawało się jej chwilami tylko dalszym ich ciągiem. Dopiero później spostrzegła, ku wielkiemu swemu przerażeniu, że odnoszą się one do faktów, które urzeczywistniały się dopiero w przyszłości. Rozmawiała często z ludźmi, którzy mieli zachorować lub umrzeć, ulec najrozmaitszym przeciwnościom losu, znaleźć się w nowych, nieprzewidzianych sytuacjach, a wszystko to było jej znane już na tygodnie lub miesiące przedtem z marzeń sennych. Czasami ogarniała ją groza, gdyż widziała, jak próżnemi były wysiłki bliźnich i jak beznadziejnie szamotali się w sieci przeznaczenia.

Nie zawsze mogła panować nad sobą i często zdradzała się z nękającą ją obawą. Dobre serce dziewczyny chciało pomóc ofiarom losu, ostrzec je lub przygotować, ale zrozumiała niebawem, że słowa jej tłumaczone są opacznie, przestrogi traktowane, jak „rzucenie uroku", a przepowiednie klęski, jak jej wywołanie. Z tą chwilą uczuła się bardzo samotną i bardzo nieszczęśliwą. Zaczęła stronić od ludzi i szukać wyjścia z błędnego kręgu chorobliwych marzeń. W tym czasie — liczyła osiemnasty rok życia — miała też zamiar wstąpić do klasztoru, zasięgała rady księdza Winnickiego i pobierała u niego naukę czytania i pisania. Rzecz charakterystyczna, że nie wspomniała mu jednak ani słówkiem o swoich snach i widzeniach.

Miała bowiem już widzenia. Niekiedy w dzień robiło się jej ciemno przed oczyma, a kiedy przytomniała, zjawiał się obraz, przedstawiający zazwyczaj jakieś tragiczne wydarzenie. Kiedy po raz pierwszy zdarzyło się jej coś podobnego i kiedy przechodząc koło zagrody szewca Kolasy ujrzała dom jego w płomieniach, ani przez myśl jej nie przeszło, że jest to wizja pożaru, który miał powstać w dwa miesiące później. Jej krzyki przerażenia, płacz i wołanie o ratunek zwabiły sporo ludzi, a kiedy udało się dziewczynę uspokoić, kiedy spostrzegła, że dom szewca stoi na swojem miejscu, tłumaczenia biedaczki zostały źle zrozumiane. Kolasa odgrażał się okropnie, a z ust jego żony pa-

dło po raz pierwszy pod adresem Marji słowo „czarownica".

Bywały dni, kiedy Marja płakała gorzko i narzekała na dręczące ją zmory. Zwierzyła się nawet matce, ale ta prosta kobieta wyśmiała ją tylko, wzruszając ramionami. „Sen mara" — powiedział jej również na pocieszenie młody żak, Stefan Kasztelniak, z którym poznała się w czasie procesji Bożego Ciała i któremu opowiadała o swoich troskach. Ale i w stosunku do niego sny jej okazały się proroczemi. I jego nie potrafiła uchronić przed śmiercią.

Nie potrafiła też ostrzec przed nią bałakarza Laurentego, dziada przydrożnego Maćka, sąsiadów Kropidłę i Wyżygalskiego, kościelnego od św. Salwatora, a przedewszystkiem własnej matki. Nieszczęście rodzinne opłakiwała w chwilach powodzenia, a każde radosne zdarzenie budziło w niej lęk, gdyż przypominała sobie, że po nim przyjdą, jej tylko wiadome, troski i udręki. Była „prawdziwą czarownicą", gdyż, jak to wiedzieli mieszkańcy Zwierzyńca wymyślała nawet „śniegi, mrozy, deszcze, grady, ulewy i insze niepotrzebne ludziom rzeczy".

Jeśli uprzytomnimy sobie, że biedna dziewczyna żyła w ostatnich latach raczej wizjami, niż rzeczywistością i że widziała przeważnie „nieszczęścia", to los jej był w każdym razie godny politowania.

Z wiosną 1684 r. nastała jednak w usposobieniu Marji zmiana na lepsze, a przyczyną tej zmiany był sen proroczy, jeden z nielicznych snów w czasach ostatnich, który nie przyprawiał biednej „jasnowidzącej" o posmak goryczy.

Śniło się jej, że pod murem, okalającym kościół św. Salwatora, spotkała młodzieńca, którego pokochała. Marzenia senne dały dziewczynie tym razem pewność szczęścia. Nic też dziwnego, że myślała odtąd ciągle o tej błogosławionej chwili, kiedy ziszczą się jej pragnienia i kiedy ujrzy po raz pierwszy wyśnionego kochanka. Minęło jednak kilka tygodni, Marja odbyła szereg spacerów pod kościół, zanim zjawił się on... Jasiek Nowinka.

Był to wędrowny czeladnik stolarski, który przybył do Krakowa w poszukiwaniu pracy. Przystojny, wesoły chłopak musiał od pierwszej chwili przypaść do gustu wyczekującej go dziewczynie.

Wniknijmy w położenie Marji. Miała już lat dwadzieścia cztery i jeśli można wierzyć ojcu, była bardzo zgrabną dziewuchą. Zapewne chłopcy bali się jej trochę; nie miała przyjaciółek, a głuche wieści o „złem spojrzeniu" Marji mogły odstraszyć niejednego zalotnika. Wzmianki o jej przyjaźni z wyrostkiem, Stefanem Kasztelniakiem, dowodziłyby jednak, że nie uważano jej za nieprzystępną. Należy przypuszczać, że sama Marja cierpiała w skrytości ducha z powodu swego „długiego języka", czy też „urocznych oczu" i chciała czuć, myśleć i postępować, jak jej rówieśniczki. Prawdziwe kochanie! Tyle o niem słyszała! Tyle o niem marzyła! Kiedy poznała Jaśka i kiedy sprawdził się jej sen o miłości, musiała być podwójnie szczęśliwa. Był to przecież naprawdę kochanek „wyśniony". Co więcej, słodkie uczucie, przepełniające jej serce, dowodziło, że jest kobietą, jak te wszystkie mieszczki, córki rzemieślników i włościan, z któremi spotykała się codziennie i którym może zazdrościła.

Przypuszczam, że stolarzówna „zadurzyła się" w nowym czeladniku i że z najrozmaitszych powodów uczucie jej, zrazu słabe i nieśmiałe „potężniało stopniowo i przeradzało się w namiętność". „Chodziła za nim, jak pies" — mówiła w urzędzie jedna z sąsiadek. „Ale i on nie gonił za innemi dziewkami...".

Minęła wiosna i lato.

Trudno rozstrzygnąć, co się teraz stało. Z wielkiem prawdopodobieństwem można przyjąć, że Marja zaczęła mieć znowu sny

i wizje, odnoszące się tym razem do Jaśka Nowinki. Wizje te ostrzegały ją przed katastrofą, do której przyszło dopiero w jesieni. Wiedziała z doświadczenia, że nie można ich lekceważyć. Podobne przeczucia miewała przecież już dawniej i zawsze sprawdzały się w niedługim czasie. W danym wypadku chodziło jednak o życie jej Jaśka. Czyż w żaden sposób nie można wybłagać go od śmierci? Czyż nie da się oszukać przeznaczenia? Jeśli prawdą jest, że dziewczyna uciekała się od rozmaitych guseł, że zbierała przy księżycu rosę z jesionów i że w tym czasie schwytano ją na różnych czarodziejskich praktykach, to było to chyba przejawem rozpaczy. Kochanka uratować mógł jej zdaniem, tylko cud. Nie czuła się godną łaski Bożej, gdyż prorocze swe sny uważała już może sama za dzieło szatana. Cóż pozostało biedaczce innego, jak szukać zbliżenia się do czarta, jedynie odpowiedzialnego za jej nieszczęsne widzenia? Cóż pozostało, jak błagać go o darowanie jej Jaśka za cenę nawet własnej duszy? Przecież już dawno była potępioną. Zeznanie Marji nie przemawia wprawdzie za przyjęciem tej hipotezy, wydaje się ona jednak najzupełniej uzasadnioną.

Dni i tygodnie, dzielące biedaczkę od śmierci kochanka, musiały być dla niej jednem pasmem męczarni. Wiedziała, że kończy się już krótka bajka o szczęściu przy boku wybranego mężczyzny, a czując się bezsilną, odchodziła nieledwie od zmysłów. „Opętał ją szatan", „ciągała chłopa na zabawy i rozpustę", „włóczyła się z Jaśkiem po nocach" tak, że pewnego dnia przyszło nawet do burdy w domu stolarzów. Bez względu na to, co mówiły kumy, nagłą zmianę w usposobieniu dziewczyny można sobie tłumaczyć tylko chęcią „wyżycia się" jednostki, która wie, że niedługo wszystko będzie skończone. Kiedy ciało Nowinki przyniesiono do domu stolarza — utopił się w Wiśle podczas kąpieli — na progu czekała Marja. Była, jak mówiono, spokojna, ale Bóg jeden wie, co działo się w głębi jej zbolałej duszy.

W danych warunkach przyszłość przedstawiała się jej tragicznie. Być wiecznie igraszką proroczych widzeń, a nie mieć możności bronienia ludzi przed niebezpieczeństwem! Przecież i Jasiek śmiał się, kiedy ostrzegała go przed kąpielą w Wiśle! Przecież przyrzekł unikać wody, a zapomniał o złożonej obietnicy lub świadomie wyzwał los, aby udowodnić, że obawy Marji były nieuzasadnione! Przekonanie, że najbliższe tygodnie przyniosą jej nowe sny i widzenia, że żyć będzie myślą w innym świecie, że teraźniejszość uważać musi za nierealną, to było ponad jej siły!

Ale, co najważniejsze, w duszy jej nie było miejsca na nadzieję. Rozpacz, czarna rozpacz trzymała nieszczęsną w swych drapieżnych szponach, nie pozwalając jej ochłonąć. Jeśli w tym czasie, zaledwie w dwa tygodnie po śmierci Nowinki oskarżono Marję Orzecką o „czary", a urząd radziecki, opierając się na pisemnym donosie, zarządził jej uwięzienie i inkwizycję w myśl obowiązujących praw o wiedźmach, to nie jest to z pewnością przypadek. Przewód sądowy wykazał, że oskarżenie opiera się na faktach, pozwana przyznała „ze skruchą", że jest czarownicą, a świadkowie przytoczyli okoliczności tak niezwykłe, tak niezgodne z ludzkim rozumem, że wyrok mógł być tylko jeden.

Rzecz znamienna, „decretum criminale" wydane zostało na podstawie dobrowolnej inkwizycji. W zeznaniach Orzeczanki nie było „odmienności mowy, bojaźni, zająkania, drżenia etc., które czynią drogę do męki". Nic też dziwnego, że w sprawie, toczącej się między instygatorem z jednej, a obwinioną z drugiej strony, ustalono:

> „że rzeczona Marja Orzecka, zapomniawszy łaski i dobrodzieystwa Boskiego, ważyła się przeciwko pierwszemu przykazaniu Bożemu sgrzyszyć y ono przestąpić, zażywając po wielekroć guślów czartowskich, aby znajomków swoich poniewolić przez uroki. Takoż czeladnika Jana Nowinkę, rodzonego w Miechowie, dyabelskyemi sposobami nakłaniała, żeby jej był powolny. Tedy sąd ławniczy, przychylaiąc sie do ustawy, gdzie pisze, iże każdy odszczypieniec od Wiary Ś. Chrześciański ma być ogniem karany, tąsz śmiercią y czarownik zginąć ma, skazuie obwinioną Marję Orzecką, aby beła według prawa spalona".

Co stało się w dniu 18 października Roku Pańskiego 1684 na Małym Rynku, czyli jak go wówczas nazywano „Rynku tandety".

BEZ SZMINKI

Helena Grossówna



Helena Grossówna, znana aktorka filmowa, ulubienica publiczności.
Fot. H. Zalewska — Warszawa.

Widywałem ją na ekranie. Słyszałem o niej wiele. Ale nie znałem jej osobiście i nie wyobrażałem sobie jej w życiu codziennem. Tak, przyznaję się do tego.

Czasem żałowałem, że nie miałem sposobności być przedstawionym tej miłej dziewczynie z ekranu. Obiecywałem sobie, że gdy kiedyś poznam Helenę Grossównę — powiem jej, że gdyby miała reżysera na wielką skalę, powiedzmy Vidora czy Clair'a, byłaby sławą światową.

Myślałem, że gdyby ta aktorka urodziła się we Francji czy Ameryce — byłaby już dziś znaną całemu światu Chciałem też przy spotkaniu palnąć aktorce kilka komplementów w podzięce za miłe chwile w kinie, kiedy mogłem ją oglądać na ekranie.

Tymczasem stało się tak, że kiedy wreszcie zupełnie niespodziewanie przedstawiono mnie Grossównie — nie powiedziałem jej nic z zamierzonych rzeczy, które łatwo mogły by wydać się zdawkowemi frazesami w stosunku do „aktorki bez szminki". To co myślałem o Grossównie i o czem jej powiedzieć chciałem — mogło się odnosić do postaci znanej wyłącznie z ekranu czy mdłych wywiadów.

Dzieje się tak, że słysząc o kimś, znając prace i dzieła kogoś — człowiek urabia sobie o tym kimś opinję. Wtedy w wyobraźni powstaje obraz nieznanej osoby, który w zestawieniu z żywą sylwetką pozostać musi w niezgodzie.

Zdarzyło mi się naprzykład kiedyś poznać pewną panią, która czytując moje rzeczy — doszła do niezłomnego przeświadczenia, że życie obeszło się ze mną niełaskawie, że jestem nieszczęśliwcem nie znającym jaśniejszego promyka — poprostu rozbitkiem...

Pani ta nalegała na wspólnych naszych znajomych, by ją ze mną poznano i w swej niewątpliwej dobroci obiecywała pocieszyć mnie za wszelką cenę...

Nie muszę chyba dodawać, że to wyobrażenie nie odpowiada prawdzie. Lubię się śmiać, słuchać dobrych kawałów. Lubię sobie kpić z wielu rzeczy. Mam tylko podobno ponurą gębę i czasem napiszę niewesołą historję.

Tak więc kontrefekt mój w wyobraźni owej pani okazał się zupełnie niepodobny do mnie. Tak samo przedstawiała się rzecz z moim o Grossównie wyobrażeniu, wyznaję to ze skruchą.

Myślałem sobie: No tak! Milutka, wesolutka, przyjemniaczek psiakoś, a zbliż się do niej — to się nadmie, funfy zacznie stroić... Gwiazda!... Pewno dorożką nie jeździ, bo koń tyłem się obraca do pasażerów, tramwaj uważa za coś bardziej poniżającego, jak więzienie... gdzie pakowali za długi. Pewno delikatne to. Nadskakiwać każe. Pewno grymasi. Tualety, kosmetyki po 80 złotych za słoiczek, latem tylko Biarritz. Zdziwiona pyta: krajowe? Jakżeż to się nosi... nigdy nie używałam!...

Kiedy Grossówna podała mi pierwszy raz rękę nie chciałem wierzyć, że to ona — ta z ekranu. Elegancka, skromna sylwetka. Nic napuszonego. Uśmiechnęła się szczerze. Powiedziała zdaje się, że jej „miło".

Miejsce w nabitej kawiarni było okropne. Mały stolik wciśnięty między siedzących. Popatrzyłem na aktorkę zafrasowany. Ale ona nie. Cieszy się, że jest ciasno, że przyjemnie, że sobie pogadamy. Podnosi palcem kapelusz z czoła i zabiera się do oranżady. I wciąż się uśmiecha. Ale wcale nie łaskawie, ale poprostu i serdecznie. A ja wiedziałem, że przyszła tu wraz ze znajomymi wprost z pociągu, i że napewno musiała być zmęczona jak licho.

Wydało mi się to wszystko podejrzane. Więc zamilkłem, wtopiłem w panią z kapeluszem na czubku głowy — badawczy wzrok i przybrałem postawę wyczekującą i nieufną. Pomyślałem sobie: Czekaj kochaneczku — jeszcze się okaże jakaś ty „miła"... Nie wydawało mi się jakoś, aby powo-

Dokończenie na str. 31-ej.



CO MÓWIĄ W PARYŻU O FRYZURACH?

Byłyśmy w wielkim kłopocie, kiedy ubiegłej jesieni zapanowała wszechwładnie moda układania fryzur w kunsztowne loki, zgrupowane wysoko na głowie, przy zupełnem odsłonięciu linji karku. Była to wyjątkowa moda, która mimo swych walorów artystycznych nie zdołała się szerzej przyjąć i uległa z miejsca rozlicznym modyfikacjom i przeobrażeniom. Mogły sobie na nią pozwolić tylko kobiety o nieskazitelnej linji karku i pięknych małych uszkach, ale była to też dla nich wymarzona wprost fryzura.

Już w karnawale opuszczono włosy znowu ku tyłowi i zasłonięto przynajmniej do połowy muszle uszu; tak powstała śliczna zresztą w swoim rodzaju fryzura „à la dauphin". Nie można jej jednak wróżyć dłuższego żywota, skoro mamy przed sobą lato, sezon kąpieli morskich i rzecznych, nie mówiąc już o innych sportach, wymagających biegania np. po korcie itd. Jak w tych nad karkiem, jakoteż wówczas, kiedy podniesie się go wyżej ku środkowi głowy.

Nim jednak wyjedziemy nad morze, upłynie kilka tygodni, a tymczasem letnie kapelusze będą wprost prowokowały wszystkie panie do zmiany fryzur. Paryżankom przychodzi z pomocą pewien nowy sposób wypróbowywania fryzury, który nie męczy tak, jakby męczyć musiało kilkakrotne przeczesanie głowy dla odpowiedniego dobrania fryzury do swego typu.

Oto jeden z fryzjerów paryskich, Geno, wpadł na następujący pomysł. Prosi swoje klientki o ich fotografje, na których podstawie przerysowuje główki do wielkości naturalnej. Mając dany model przed sobą na sztalugach, rozpoczyna dość ciekawą pracę. Przypina mianowicie sztuczne loki do modelu i układa fryzurę wedle swego pomysłu, czy życzeń danej osoby. Gotowy model fotografuje się, a przyklejone do portretu włosy można na nowo upiąć w inny znów





Od lewej: Oto piękny typ fryzury dla blondynki, urozmaicony kwiatkami z organdi, oraz młodociana fryzura przybrana kokardą nad czołem.

warunkach możnaby było czesać się z puklami włosów na karku!

I cóż się dzieje?

Oto piękne pukle włosów padają znowu ofiarą nożyc fryzjerskich. Obcinamy na lato włosy z tyłu do długości najwyżej 3—4 cm. Układa się je wokół linji karku w drobne, ściśle loczki, które przez swą lekkość przydają dużo wdzięku główce kobiecej.

Wyłania się też drugi kierunek modnej fryzury, który sugerowały wzory roku 1900, z węzłem nisko nad szyją upiętym. Fryzura ta niesie ze sobą wielką trudność wobec krótkich włosów i wymagałaby sztucznie przyprawianych staroświeckich „koków", co jest narazie jeszcze dość odstraszające i spowoduje prawdopodobnie ogólny protest kobiet. Niemniej jednak fryzura taka, oparta o dobre wzory greckie i uwydatniająca korzystnie profil główki kobiecej, ma wiele zalet, tak, kiedy węzeł umieszczony jest nisko sposób. Przygotowawszy tak kilka czy nawet kilkanaście typów uczesania, może fryzjer przedstawić swej klientce rzecz naprawdę zdumiewającą. Oto kilkanaście fotografij jej samej w coraz to innem uczesaniu.

Portrecik można fotografować, a można też odcinać od niego każdą fryzurę z osobna w postaci płaskiej peruczki, którą przykłada się później do portretu, co daje możność doskonałego wyboru typu najodpowiedniejszego dla siebie. Zamożne klientki korzystając z takiego udogodnienia zamawiają sobie coraz to nowe typy uczesania i są w tem szczęśliwem położeniu, że mogą nietylko same zastanowić się nad swą fryzurą, ale mogą jej zalety i wady, przestudjować w gronie swych przyjaciółek i osób najbliższych, interesujących się takimi problemami.

Mewa.



1



2



3



4



5

Na lewo od góry: Poszczególne fazy „montowania" fryzury na portrecie przedstawiają się następująco: mistrz grzebienia Geno, rysuje według fotografji portret klientki... — nakłada na rysunku misterne loczki... — Gotową fryzurę przykleja do portretu... — A teraz przykłada znów inną fryzurę, by porównać jej efekt... — Gotowe fryzury Geno pokazuje swoim klientkom, aby mogły wybrać najwłaściwszą. — Fot. Francis C. Fuerst.



Czy wiesz, jak wyglądasz w tańcu?

Powyżej: NA POPULARNYM DANCINGU: Każdy tańczy jak umie — każdy tańczy jak chce...



Oto, jak powinien wyglądać poprawny układ rąk i ogólna linja sylwetek dobrych tancerzy.

Rzadko kiedy zwracamy uwagę na wygląd naszej sylwetki w czasie wykonywania ruchów, związanych z różnemi czynnościami życia codziennego. Uważamy to bowiem za mało ważne dlatego, ponieważ w owych funkcjach życiowych wszystkim nam, ludziom, chodzi przedewszystkiem o treść, a nie o formę. Inna rzecz, że rażące odchylenia od zdawna ustalonych i przyjętych tu form muszą powodować refleksje na temat przyczyn takiego zjawiska.

Gdy widzimy kogoś kulejącego, nie przyjdzie nam nigdy na myśl, że powodem takiego wypaczonego ruchu, jest np. zły humor, lub chęć zaakcentowania swoistej elegancji. Nadwrót zaś, obserwując pewną manierę np. w sposobie tańczenia, nie będziemy doszukiwać się jej źródła w kalectwie fizycznem dansera.

Dlaczego tak się dzieje? Jasnem jest, że w tym drugim wypadku, biorąc naturalnie pod uwagę nie taniec artystyczny, lecz ten rozrywkowy z dancingów, forma i tylko forma odgrywa dominującą rolę. Wszyscy zwracamy na nią uwagę, stopień jej doskonałości decyduje o naszych wartościach jako danserów. Tu więc autokrytycyzm szczególnie jest wskazany i kontrola wyglądu własnej sylwetki nie może nam być poczytywana za objaw próżności.

Pomijając takie formy, jak charleston, shimmy, a nawet rumba, wszystkie inne, nie wyłączając tak dziś modnego Lambeth-Walka mogą być reprodukowane na parkiecie dancingowym z zachowaniem estetyki ruchów. Mogą być, bo przeważnie nie są. — Wszystko tu zależy od stopnia kultury tańczących i ich talentu. Zawsze znajdą się pary, których formę tańczenia uznamy za szczytową. Cóż, kiedy znikną one w szarym tłumie „wyrobników" dancingowych, uprawiających sztukę tańczenia w imię haseł taniej i łatwo dostępnej rozrywki.

Ale czy naszym celem jest tak tańczyć? Dlaczego często wyśmiewamy pozę i ruchy innych, nie widząc u siebie tych samych wad i błędów? Jeśli już nie posiadamy szczególnego talentu do tańca, natenczas dbajmy przynajmniej o estetykę wyglądu naszej sylwetki. Wówczas bowiem zachowamy linję, zgodną z nakazami dobrze pojętej elegancji.

el.





Powyżej i na prawo: Zbyt poufały sposób trzymania, ale też i ten zanadto oficjalny, nie pokrywa się z przekątnią właściwej pozy tanecznej.





Powyżej i na prawo: „Krok obok" zostawmy zawodowcom — a rękę, spoczywającą na ramieniu, fordanserkom.



DANCING W WYTWORNYM LOKALU: Strój oficjalny i poza swobodna, ale zawsze estetyczna...

Kapelusze
U PROGU LATA

Dziedziną stroju kobiecego, w której moda najszybciej się zmienia, są niewątpliwie kapelusze. Każda elegancka pani lubi często je zmieniać. Kostjum nosimy nieraz nawet po kilka sezonów, suknia — o ile jest ładna — może nam również dłuższy czas służyć, ale kapelusz! Ta sama kreacja, która miesiąc temu wydawała nam się „szlagierem", nagle po paru tygodniach zaczyna być opatrzona i poprostu nudna. Już nam w niej nie jest do twarzy, już podobne widziałyśmy na kilku znajomych paniach i model też przestał nas bawić. W tem leży sekret tego powiedzonka, będącego zmorą mężów i o dziwo tak często przez nich słyszanego z ustek małżonki: „Potrzebuję nowego kapelusza!" Nic





Na prawo: Płaską formę tego kapelusza zdobi pęk kwiatów w dwóch kolorach i dwie zwisające z tyłu wstążki.— Rys. Ewa Leo.



Kapelusz do letniego kostjumu z jedwabiu „surah" z ciemniejszą lamówką. Model: Simone Cange. — Fot. Georges Saad.



Jedynem przybraniem tego kapelusza z grubej, błyszczącej słomki są kokardy ze wstążki w jaśniejszym kolorze. Model: Hoherz. Fot. C. Anders.



Ekscentryczny kapelusz popołudniowy z rosharowego tiulu i kolorowych piór. Model: Esther Meyer. — Fot. Georges Saad.

nie pomoże tłumaczenie: „Przecież niedawno sobie kupiłaś kapelusz, którym tak bardzo się zachwycałaś..." Niedawno jest pojęciem względnem, w tym wypadku jeszcze bardziej, jak w każdym innym. Niedawno, to znaczy na wiosnę do wiosennego płaszcza, czy kostjumu, a to już jest właśnie bardzo dawno. Teraz wiosna przechodzi w lato. Będziemy nosić letnie suknie, kolorowe, powiewne — jedwabne lekkie kostjumy i płaszcze, pełne fantazji tak w kolorze, jak i w materjale i kroju. Stroje te wymagają odpowiednich kapeluszy, o charakterze fantazyjnym i czysto letnim.

Materjałem na te kapelusze jest przedewszystkiem słomka. Określenie to jest bardzo ogólnikowe, obejmuje bowiem tyle odmian i gatunków! Grube, błyszczące, prymitywnie plecione „paillasson'y", przewiewne „bakou", manille, panamy, cieniutkie słomki rozharowe i wiele, wiele innych. Wybór nie łatwy, a trzeba się pośpieszyć, bo sezon kapeluszy słomkowych jest stosunkowo krótki: czerwiec, lipiec — a w sierpniu już wracamy do aksamitu i filców.



Do letniej, powiewnej sukni ładnie wyglądają duże kapelusze, przybrane kwiatami i woalką, wiązaną pod brodą. — Rys. Ewa Leo.

Do sukien i kompletów przedpołudniowych wybieramy najchętniej słomkowe „canotiers", szykowne, młode, szczególnie, gdy się je ozdobi pękiem kwiatów i kolorową wualeczką. Obok nich, do sukien i kostjumów płóciennych i shantungowych nadają się najlepiej wszystkie typy słomek egzotycznych, przedewszystkiem panamy. Robi się z tego surowca zgrabne małe kapelusiki o podwiniętem ze wszystkich stron rondzie, albo też duże marynarki opasane i oblamowane rypsową wstążką w ciemniejszym kolorze. Panamy i manille do sukien „imprimées" robi się duże, ocieniające czoło i oczy od słońca — przybiera się je kwiatami (np. wyciętymi z kwiatowego wzoru materjału sukni) lub też ostatnią nowością paryską — glicerynowemi piórami, które wyglądają, jak jedwabna frendzla.

Ale na popołudniu dużą konkurencję słomce robią sztywne, rosharowe tiule i koron-

ki. W połączeniu z kwiatami, pokrywający-mi czasem całą główkę, tworzą śliczne, strojne kapelusze wizytowe i wieczorowe. Czasem kombinuje się tiul z piórami lub wstążkami, ale naokół w kapeluszach czysto letnich kwiaty odgrywają dominującą rolę wśród przybrań, obok nieśmiało lansowanych przez Paryż owoców, zmieniających nasze kapelusze w apetyczne ogródki i sady.

Na wieczór używamy kapeluszy, które właściwie nie wiele mają wspólnego z tem określeniem. Czasem jest to riusza tiulowa, spięta kokardą, innym razem motyl z koronki, przymocowany dwiema wstążkami, albo też pęk kwiatów, otoczony cieniutkim nimbem cienkiej wualki. — Taki „stroik" bynajmniej nie ma na celu okrycia głowy, stanowi jedynie uzupełnienie wieczorowego stroju, ostatnie jego wykończenie, kładzie poprostu „kropkę nad i".

Nowością w tym roku są kapelusze jedwabne, dawno niewidziane w tej ilości. Mogą to być kapelusze do kostjumu letniego, zrobione z jednobarwnego rypsu, tworzące całość z szalikiem z tegoż jedwabiu. Albo też toczki i turbany drapowane misternie z cienkiego jedwabnego jersey'u w jednym lub dwóch kolorach, albo też marynarki z jedwabiu w pasy, noszone do takiejże pasiatej sukni czy kostjumiku. Na główki do dużych popołudniowych kapeluszy używa się też mory, małe canotier robi się cał z gros-grain, na rondzie ułożonego w pliski nakształt harmonijki. Wizytowe i wieczorowe kapelusiki drapuje się też z żorżety lub gazy w dwóch albo i trzech odcieniach, np. do popołudniowego kompletu popielatego w 3-ch odcieniach „bleu pervenche" lub „cyklamen", do czarnego w odcieniach: wiśniowym, zielonym i czarnym, do granatowego w różowym, ciemniejszym niebieskim i granatowym. Wtedy kolory toczka powtarzają się w kwiatach, przypiętych do kostjumu lub okrycia, w rękawiczkach a czasem torebce lub pantofelkach.

Lady Like.

Poniżej: Nowością w tym roku są kapelusze jedwabne (na zdjęciu z mory).



Poniżej: A oto sportowy fason słomkowego kapelusza, przybranego pękiem kwiatów. Model: Hoherz. — Fot. C. Anders.



Poniżej: Kapelusz z grubej słomy, plecionej w dwukolorową szachownicę. Model: Klyhs. — Fot. C. Anders.



PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

ZUPA WIOSENNA. Sporą łyżkę drobno posiekanych jarzyn i ziół kuchennych, jak: koper, szczypiorek, zielone listki pietruszki i selera, estragon, parę listków szczawiu i szpinaku, miesza się w wazie z szklanką kwaśnej śmietany, dodawszy szczyptę soli, cukru i białego pieprzu. 10 dkg perłówki rozgotowuje się w wodzie przy częstem mieszaniu, aby perłówka rozklejała się w trakcie gotowania; nie należy perłówki przystawiać do gotowania z całą ilością potrzebnej na zupę wody wzgl. rosołu, lecz dolewać potrosze, aby perłówka stale była gęsta. W ten sposób gotowana najłatwiej się rozkleja. Zupełnie miękką, gotującą się zupą, zalewa się śmietaną, przygotowaną w wazie i podaje na ciepło lub ostudzoną.

SZPINAK PO WŁOSKU. Funt młodego szpinaku obiera się, myje w kilku wodach i rzuca na gotującą osoloną wodę. Po 5 minutach gotowania, odcedza się szpinak, przelewa zimną wodą i wyciska z nadmiaru wody. Na desce należy go lekko nożem przesiekać, poczem miesza się go z żółtkiem, utartem z łyżką śmietany i masła. Masę tę układa się na ogniotrwałej salaterce i posypuje suto parmezanem lub innym twardym, cienko utartym serem; na środek kładzie się pomidor obrany z łupki, kropi wszystko masłem i wstawia do gorącego piecyka na kilka minut. Przed podaniem otacza się szpinak jajecznicą i podaje szybko w tem samem naczyniu, otoczonem serwetą.

SOS „A LA HOLLYWOOD. Do jarzyn z wody lub białego mięsa podaje się w stolicy filmów (podobno upiększający) sos, jak na nasz smak trochę egzotycznej natury. Sporządza się go w następujący sposób: Do kamiennej ryneczki wybija się 2 żółtka, rozciera je z dwiema łyżkami miodu, sokiem z dwóch cytryn i łyżeczką cukru. Przez 5 minut gotuje się wszystko wśród ciągłego mieszania, ostudza i miesza z szklanką bitej śmietany.

MŁODE JARZYNKI. Każdy ciepły słoneczny dzień darzy nas nowemi jarzynkami, miłemi oku i smakowi. Aromat ich i właściwy smak zatraca się przez przydługie gotowanie lub duszenie oraz przyprawianie zasmażką. Radziłabym raczej gotować je po angielsku, tj. tylko w małej ilości słonej wody. W ten sposób ugotowane jarzynki polewa się roztopionem masłem i posypuje smażoną bułeczką lub też, jak np. marchewkę i kalarepkę, o ile mają stanowić dodatek do mięsa, poddusza się przez chwilkę w maśle i wydaje posypane zieloną pietruszką.

KALAREPKA pokrajana w grubsze plastry, ugotowana w słonej wodzie, odcedzona i polana rumianem masłem z bułeczką jest daniem, które wielu przenosi ponad kalafjor i szparagi.

PIECZONE GOŁĄBKI LUB KURCZĘTA NA DZIKO. Oczyszczone młode gołąbki wzgl. kurczęta, szpikuje się gęsto młodą słoninką natarłszy je poprzednio miałko utłuczonym jałowcem. Obrumienione na rozpalonem maśle, dusi się je następnie pod przykrywą na wolnym ogniu, miękki drób wyjmuje się z rynki a sos podprawia się ćwiartką śmietany, rozkłuconą z łyżeczką mąki, poczem wkłada się drób, pokrajany w ćwiartki, zagotowuje i wydaje obłożony makaronem.

BIAŁE TZ. WIŚLANE RYBY W SARDELOWYM SOSIE. Oczyszczone z łusek i wnętrzności ryby układa się w rynce na maśle i dusi przez 10 minut. 2—3 sardelek przetartych przez sitko miesza się z łyżką masła, smaruje niem podduszone ryby i dopieka je w piecyku nieprzykryte. Wkońcu podlewa się ryby szklanką śmietany rozmieszaną z łyżeczką mąki, zagotowuje i wydaje ryby na głębszym półmisku, oblane przefasowanym przez sito sosem, który powinien być mocno zawiesisty. Jako dodatek kluseczki francuskie lub krajane.

KISIEL Z RABARBARU. 50 dkg rabarbaru, pokrajanego w małe kawałki, parzy się wrzącą wodą, odcedza i rzuca na gotującej pół litra wody, zmieszanej z kieliszkiem wina. Rabarbar gotuje się przez 5—6 minut, następnie przeciera przez sito. Uzyskany sok słodzi się wedle upodobania, dodaje łyżkę soku z róży dla koloru i aromatu, zagotowuje i dolewa 4 dkg mączki ziemniaczanej, rozkłuconej w troszce odlanego z całości, wystudzonego soku. Zagotowany wśród ciągłego mieszania kisiel, wylewa się do formy porcelanowej, (nigdy blaszanej) wypłukanej zimną wodą i zastudza na lodzie. Wyłożony z formy na półmisek, przybiera się kisiel konfiturami oraz bitą śmietaną. Kisiel podawany na sposób szwedzki (Szwecja jest ojczyzną wszelkich galaretek owocowych) nie ma żadnych przypraw, prócz surowej słodkiej śmietanki, którą się podaje osobno.

PRĘDKA LEGOMINA. 4 żółtka, pół litra mleka, łyżkę mąki, łyżkę cukru z wanilją, ubija się na parze na gęsty krem. Ostudzonym kremem oblewa się ułożone na szklanym talerzu biszkopty, pokryte konfiturami. Wierzch ozdabia się bitą śmietaną. **Sc. Ko.**



PRAKTYCZNE WSKAZÓWKI DLA PAN DOMU

Parasol Chamberlaina zwrócił uwagę całego świata na ten pożyteczny, a nieraz niedoceniany przedmiot. Gdy nieraz parasol się zabłoci dobrze jest wiedzieć, jak go wyczyścić: czyni się to wodą z amonjakiem, jedna łyżeczka amonjaku na szklankę wody. Wilgotną szmatką czyścimy rozpięty parasol, pozwalając mu następnie wyschnąć.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat. | **Tydzień 21** | **Maj** | **Dni 31**



Niedziela 21 — Heleny kr.
Zupa rakowa z ryżem. Szparagi z masłem. Kurczęta na dziko z makaronem. Prędka legomina z kremem.
Kolacja: Pasztet z wątróbki cielęcej z majonezową sałatką.

Poniedziałek 22 — Julii
Zupa "Julienne" z młodych jarzyn. Kalarepka z wody z masłem i bułeczką. Kotlety cielęce z sałatą. Kisiel z rabarbaru.
Kolacja: Szpinak po włosku z jajecznicą.

Wtorek 23 — Dezyder.
Perłowa zupa na śmietanie. Marchewka z grzankami z bułki. Polędwica wołowa po angielsku z jarzynkami. Babeczki kruche z owocami.
Kolacja: Kefir z ziemniaczkami.

Środa 24 — Joanny
Rosół z lanem ciastem. Kalafior z masłem. Kurczęta nadziewane z kaszką krakowską. Placek drożdżowy z serem.
Kolacja: Jaja sadzone na serze ementalerze.

Czwartek 25 — Urbana
Zupa szczawiowa na rosole. Sztuka mięsa z sosem agrestowym. Sznycle wiedeńskie z sałatą. Kompot mieszany.
Kolacja: Nóżka wieprzowa faszerowana.

Piątek 26 — Filipa
Barszcz botwinkowy z twardem jajem. Rizotto z groszkiem zielonym. Ryby wiślane w sardelowym sosie z makaronem. Buchtle z konfiturą.
Kolacja: Szparagi i kalafior.



Sobota 27 — ...na pap. †
Zupa pomidorowa z ryżem. Omlety z groszkiem. Zrazy siekane z kaszą. Kompot z agrestu.
Kolacja: Ruskie pierożki przysmażane.

HOCKI-KLOCKI

DYKTATOR ROBI WIELKĄ POLITYKĘ...



— Nie wierzą panowie, że sąsiedzi nasi są jaknajlepiej dla nas usposobieni?



— Oto reprezentanci państw sasiednich, oświadczą oficjalnie swą sympatję dla mego państwa.



— Jak panowie widzą, są oni pełni entuzjazmu i przed całym światem demonstrują swą wolną wolę współpracy z nami.



A oto jak wygląda naprawdę zakulisowa sytuacja!
(„Le Rire“, z cyklu „Mały dyktator“)

ROZRYWKI UMYSŁOWE

OSIEM ÓSEMEK.

Proponujemy Czytelnikom ułożyć osiem ósemek w ten sposób, by suma ich dała 1000.

CZERWONI I ZIELONI.

Cztery kluby — Niebiescy, Czarni, Czerwoni i Zieloni — wzięły udział w turnieju piłki nożnej. Każdy klub grał z każdym innym po jednym razie. Za mecz wygrany klub otrzymywał 2 punkty, za nieroztrzygnięty 1. Czerwoni zdobyli 5 punktów; Czarni — 3; Zieloni — 1. Ogółem padło 13 bramek, z których 7 na korzyść Czarnych. Niebiescy nie zdobyli ani jednej bramki. Czarni wygrali z Zielonymi w stosunku 4:1. Jaki był wynik meczu między Zielonymi a Czerwonymi?

DWA KAWAŁKI STALI.

Zosia ma dwa identyczne pod względem zewnętrznym kawałki stali. Jednak jeden z nich jest magnesem, a drugi nie. Jak można rozpoznać bez pomocy innego kawałka metalu, który z nich jest magnesem?

O METALACH.

Kawałek złota, który waży w powietrzu 19 gramów, w wodzie waży już tylko 18. Kawałek srebra, ważący w powietrzu 21 gramów, w wodzie waży 19 gr. Ile trzeba użyć gramów złota i srebra do stopu, który w powietrzu ważyłby 100 gr, a w wodzie tracił na wadze 8 gr.?

SZEŚCIAN.

Profesor Ułamek dał swym uczniom następujące zadanie: Należy znaleźć taką liczbę X, która po dodaniu do niej jej sześcianu daje liczbę 592,788.

SPROSTOWANIE.

Artykuł p. t. „Balet łotewski tańczy“ zamieszczony w nrze 16 „Asa“ jest pióra p. Wojciecha Stypuły, nie zaś Szypuły jak omyłkowo wydrukowano.

Dokończenie ze str. 25-ej.

dzenie, triumfy i popularność nie zepsuły tej aktorki.

Na drugi dzień, na „piątą“ — zostałem zaproszony do znajomych, u których zatrzymała się Helena Grossówna.

Przy stole gadu — gadu. „Gwiazda“ jakoś o sobie nie rozprawia, nie każe na siebie zwracać uwagi. Wprost unika tego tematu. Ale wkońcu zmusiliśmy ją do mówienia. Musiała nam opowiedzieć o swej pracy, o swych honoracjach, troskach i radościach w atelier i na scenie.

Tego co powiedziała nam Grossówna, powtarzać nie będę. Moją intencją jest próba narysowania tu sylwetki jednej z najlepszych aktorek polskiego filmu, która sprawiła mi niespodziankę swym prostym i niewymuszonym sposobem odnoszenia się do wszystkiego i do wszystkich na codzień. Nie lubię zresztą wywiadów i nigdy nie powtórzyłbym takiego naprzykład zdania, wypowiedzianego przez panią X.: „Zainteresowania moje? Zdobędę się na odwagę! Są one prozaiczne, może mieszczańskie. Kocham dom. Kocham skromny i bardzo mój dom, mebelki, pieseczki, pomalowany parkan... i t. d.

Wieczorem poszliśmy do kina, gdzie naświetlano film z Heleną Grossówną. Jakoś tak się złożyło, że w przerwie wywiedzieli się ludziska, że ich ulubienica z ekranu siedzi na widowni. Po przedstawieniu tłum zgotował artystce owacje.

Byliśmy zmieszani, znalazłszy się w kręgu, który zamykał się wkoło Grossówny. — A ona tymczasem przyjęła kwiaty, ślicznie za nie podziękowała i cieszyła się wraz z innymi z „przygody“. Nie pozowała, nie krygowała się. A kiedy bractwo na ulicy zaczęło pokrzykiwać, kiedy ludzie otoczyli dorożkę, a ktoś dosiadł na oklep szkapy, by wieść w triumfie ulubienicę tłumu kinomanów przez ulicę Krakowa — Grossówna wydała mi się zakłopotana, że narobiła zamieszania swą osobą i dziwiła się szczerze żywiołowej owacji publiczności.

Patrząc na gwiazdę (z czystem sumieniem obdarzam ją tym tytułem) — nabierałem zwolna coraz większej dla niej sympatji. — Wiedziałem już wtedy napewno, że niema w przemiłym urwipołciu z filmowych wydarzeń — nic sztucznego, nic takiego, co łatwo przychodzi, gdy sukcesy mącą w głowie. Grossówna jest w życiu przemiłem — niecodziennem zjawiskiem, jest szczerym kompanem podczas przyjacielskiej pogawędki, nie potrafi psuć nastroju, nie wymawia się późną porą, kiedy reszta towarzystwa nie ma ochoty jeszcze iść do domu. Wesoła, roześmiana, dowcipna — smutek okazuje zapewne tylko wtedy, gdy jej przyjaciołom coś przykrego się przytrafi.

* * *

Jeszcze raz — w parę miesięcy po naszem pierwszem spotkaniu spędziłem z Grossówną parę przemiłych chwil. Upewniła mnie wtedy aktorka w mem mniemaniu o niej i pozostawiła najmilsze wspomnienia.

Dziś już wiem, że prócz dużego talentu, także swemu usposobieniu zawdzięcza w wielkiej mierze Grossówna swe sceniczne i filmowe sukcesy. Życie nie potrafi jej zepsuć. Wierzę, że kiedy w niedalekiej przyszłości sięgnie do szczytów powodzenia, a być może dostanie się do królestwa filmu w Hollywood — nie urazi ją, gdy powtórzę, jak kiedyś w Krakowie:

— Słowo daję — „Grossówka“ jest nietylko aktorką, ale i kompanem co się zowie!...

J. M. Brzeski.

TO CO NAJCELNIEJSZE

NOWA KSIĄŻKA Z. NOWAKOWSKIEGO.

Na półkach księgarskich ukazała się nowa powieść Zygmunta Nowakowskiego p. t. „Błękitna kotwica“ (nakładem Gebethnera i Wolffa). Jest to część I, zakreślonej na większą skalę powieści ideowej, rzuconej na współczesne tło rzeczywistości pisarskiej autora „Przylądku dobrej nadziei“ i „Startu Edmunda Sulimy“, wiążąc się najsilniej z działalnością publicystyczną i feljetonowo-społeczną autora „Z mojej pralni“. Powieść ta śmiała w koncepcji, odważna w przeprowadzeniu, a niezwykle sugestywna prostotą narracji, nienadużywaniem środków artystycznych. Kładąc duży nacisk na fabułę, potrafił Nowakowski równocześnie niezwykle pogłębić jej nurt wewnętrzno - ideowy, z niego czyniąc głównego bohatera powieści.



Zygmunt Nowakowski.

Jakaż jest idea „Błękitnej kotwicy“? Stara i wieczyście aktualna, wciąż zapominana, zaniedbywana i niszczona. Tą ideą: — miłość w życiu społecznem.

Bohater fabuły powieści Z. Nowakowskiego, o nazwisku symbolicznem Gorzeń, zawikłany w tragiczny splot dzisiejszej rzeczywistości, pragnie być skromnym apostołem idei miłości. Mówi na jednem z zebrań: „W Polsce budujemy wszystko przeważnie na fundamencie porachunków osobistych czy partyjnych. Każdą budowę cementujemy nieufnością, temu też należy przypisać kruchość i nietrwałość naszej budowy. Niosę miłość. Zapewniam panów, że miłość można znaleźć. Wystarczy tylko schylić się po nią: leży na drodze w pyle, zdeptana nogami przechodniów... Ludzie są spragnieni miłości. Od tak dawna karmiono ich nienawiścią: że teraz nastąpił zrozumiały przesyt, nie wierzą zaś nikomu, zwłaszcza żadnej partji...“.

Gorzeń znalazł entuzjastów i zwolenników. Rosła gromada jego wyznawców, ale znalazły się czynniki, które, wbrew woli inicjatora, skomercjalizowały ideę, wypaczyły plany jej głosiciela, doprowadziły do tego, że znowu zatriumfowała nienawiść. Gdy Gorzeń przegrał jedno ze spotkań z rzeczywistością, odwrócili się od niego wszyscy. Został przy nim tylko mały chłopiec, gorący jego wyznawca. Może on podejmie poraz wtóry trud, który zabijał Gorzenia, człowieka szlachetnego, ale zbyt silnie wierzącego w moc samego słowa, we własne siły i przez to za słabego na dzisiejsze czasy.

Powieść Z. Nowakowskiego daje wielostronny obraz dzisiejszej rzeczywistości, obraz bardzo objektywny, świadczący o głębokiej zadumie autora nad współczesnością i poważnej o nią trosce.

(swb).

IDZIEMY DO TEATRU...

w Warszawie...

— przedewszystkiem do Teatru „Ateneum“, który gra obecnie komedję Baumarchais'ego „Cyrulik sewilski“ w przekładzie Boya-Żeleńskiego, w reżyserji St. Perzanowskiej, w dekoracjach W. Daszewskiego z muzyką R. Palestra.

„Ateneum“ to dziś najlepszy teatr stolicy. Wymagający krytyk, jakim jest recenzent „Prosto z Mostu“ Stan. Piasecki, pisze, że „recenzja z przedstawienia tak udanego, z wieczoru tak pogodnego i w zdrowy śmiech obfitego, musi się z natury rzeczy zmienić w list gratulacyjny: pod adresem Perzanowskiej, która mądrze wie, iż dobremu autorowi reżyser może z zaufaniem powierzyć sukces przedstawienia, tem pewniejszy, im będzie więcej na scenie tekstu a mniej przydatków; pod adresem Jaracza i Chmielewskiego, pary Bartolo-Basilio nieporównanej, pod adresem Maszyńskiego, który zrazu, jako Figaro, wziął ton tak ostry i krzykliwy, że myśleliśmy, że nie dotrzyma, ale w następnych aktach utemperował się i wygrał na całej linji; pod adresem młodych wreszcie Nobisówny (przemiłej Rozynki) i Rakowieckiego (postawnego Almawiwy), którzy pokazali nam, że przy dobrych wskazówkach reżyserskich i z sentymentalno-banalnych postaci zakochanych można zrobić cacko. Nie wolno też zapominać o Daszewskim (zaletą jego dekoracyj w „Cyruliku“ jest skromność), Palestrze, kompilatorze żwawej ilustracji muzycznej — i o Boyu — tłumaczu, co tu gadać, jednak najlepszym w Polsce“.

— do Teatru Narodowego, który wznowił niegrany w Polsce od 10 lat potężny dramat Ferdynanda Goetla pt. „Samuel Zborowski“. Dzieło to, w którem spojrzenie znakomitego pisarza na pewien wycinek z dziejów Polski łączy się najściślej z aktualną rzeczywistością psychiki polskiego społeczeństwa, wywiera niezwykle silne wrażenia. Toteż wszystkie akcenty sztuki, nawołującej do zjednoczenia w obliczu grożącego niebezpieczeństwa, jak zwłaszcza potężne przemówienie Stefana Batorego, reprezentującego mocarstwowość polskiej idei, witane są niezwykle gorąco. Z najwyższem uznaniem spotkała się reżyserja L. Schillera, oraz dwie kreacje aktorskie: J. Leszczyńskiego (Samuel Zborowski i K. Junoszy-Stępowskiego) (Stefan Batory), którego powrót do teatru dramatycznego powitać należy z prawdziwą radością.

— do Teatru Małego, gdzie grana jest komedja Oskara Wilde'a pt. „Brat Marnotrawny“, opracowana reżysersko przez Z. Ziembińskiego, z dekoracjami Z. Węgierkowej. Komedja ta cieszy się dużem powodzeniem, głównie dla ciekawej kreacji aktorskiej Przybyłko-Potockiej. Obok niej główne role grają L. Wysocka, Nakoneczna, Ziembiński i Wojtecki. **(b.)**



Stefan Jaracz w karykaturze Romana Wyspiańskiego.



Ferdynand Goetel. Rysunek Władysława Daszewskiego.



Stanisława Perzanowska w karykaturze Wyspiańskiego



„Cyrulik Sewilski“ Beaumarchais'go na scenie teatru Ateneum w Warszawie. — Na zdjęciu od lewej: M. Maszyński (Figaro), Z. Rakowiecki (hr. Almaviva), M. Nobisówna (Rozyna) i S. Jaracz (dr. Bartolo). — Dekoracja W. Daszewskiego.

NA POLSKIEJ ANTENIE:

Co roku w maju i w czerwcu odbywa się w Londynie wielki festival muzyczny. Tegoroczny poświęcony jest głównie twórczości Beethovena, a koncertami dyryguje Artur Toscanini. Pod jego batutą wykonanych zostanie 9 symfonij wielkiego muzyka. Polskie Radjo transmitować będzie wykonanie IX. Symfonji w **poniedziałek, dnia 22 bm.** o godz. 21.15. Jako soliści wystąpią I. Baillie, M. Balfour, P. Jones i H. Williams.



Irena Dubiska.

Z polskich audycyj nadchodzącego tygodnia warto zwrócić szczególną uwagę na następujące: W **niedzielę, 21 bm.** o godz. 12.03 nastąpi transmisja poranku symfonicznego z dziedzińca Bibljoteki Jagiellońskiej w Krakowie, w którym weźmie także udział skrzypaczka Irena Dubiska, która wykona m. in. koncert skrzypcowy d-dur Młynarskiego; o godz. 17.00 usłyszymy montaż radjowy p. t. „Wędrówka po teatrach warszawskich“. Tego samego dnia o godz. 21.20 wystąpi przed mikrofonem Ewa Bandrowska-Turska, która m. in. wykona pieśni Schumanna. — W **poniedziałek 22 bm.** o godz. 17.25 audycja słowno-muzyczna poświęcona folklorowi mazurów pojezierza pruskiego. — We **wtorek, 23 bm.** o godz. 22.15 wystąpi przed mikrofonem skrzypaczka Eugenja Umińska. — We **środę, 24 bm.** o godz. 21.45 usłyszymy z płyt niektóre fragmenty słynnej opery Verdiego „Traviata“. Śpiewać będą artyści włoscy. — We **czwartek, 25 bm.** o godz. 23.05 nadaną zostanie po raz pierwszy ostatnia kompozycja Maklakiewicza p. t. „Cagliostro w Warszawie“. Orkiestra symfoniczna wykona także kompozycję Piotra Perkowskiego. Tego samego dnia usłyszymy o godz. 17.30 koncert kompozytorski Feliksa Nowowiejskiego, zaś o godz. 18.30 arje operowe w wykonaniu Ady Sari. — W **piątek, dnia 25** bm. o godz. 21.00 nadaną zostanie ostatnia część oratorjum Haydna p. t. „Lato“. — W **sobotę, dnia 27 bm.** audycja rozrywkowa o godz. 21.25 z udziałem Toli Mankiewiczówny, „Czwórki Radjowej“ i „Pięcioraczków Radjowych“.

Z audycyj literackich najciekawszemi będą: w **niedzielę, 21 bm.** o godz. 21.50 słuchowisko p. t. „Sen w ogrodzie“ angielskiego autora L. Crabtree, we **czwartek, 25 bm.** o godz. 21.30 audycja p. t. „Napoleon“, opracowana przez prof. H. Mościckiego i A. Bohdziewicza, oraz w **piątek, 26 bm.** o godz. 18.30 słuchowisko p. t. „I co z takim zrobić“ R. Niewiarowicza, będące przeróbką jego komedji.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa“, zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca. — Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczenia egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji. — Zakłady Graficzne "IKC", Kraków, Wielopole 1, pod zarz. Fr. Czajki. Miejsce wydania: Kraków, Wielopole 1.